

ALFRED HITCHCOCK

**TAJEMNICA GADAJĄCEJ
CZASZKI**

PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW

(Przełożyła: DOROTA KRAŚNIEWSKA)

Słowo wstępne Alfreda Hitchcocka

Witajcie, miłośnicy tajemniczych opowieści! Przed Wami kolejna intrygująca zagadka, z którą zmierzą się Trzej Detektywi. Ich dewiza brzmi: "Badamy wszystko". Nie wiem jednak, czy nie zmieniliby jej, gdyby wiedzieli, co ich czeka przy rozwiązywaniu dziwnej tajemnicy gadającej czaszki. Sprawa ta pełna jest zaskakujących niespodzianek i niebezpieczeństw. Jedna zagadka prowadzi do następnej. Na razie nie powiem już nic więcej. Obiecałem, że nie wyjawię zbyt wiele, i zamierzam dotrzymać tej obietnicy. Może dodam jeszcze tylko, iż Trzej Detektywi to Jupiter Jones, Pete Crenshaw i Bob Andrews. Mieszkają oni w Rocky Beach, małym mieście w Kalifornii, leżącym nad oceanem niedaleko Hollywoodu. Kwaterą Główną Chłopców jest przyczepa kempingowa, stojąca na terenie składu złomu należącego do ciotki i wuja Jupitera, Matyldy i Tytusa Jonesów.

Chłopcy tworzą zgrany zespół. Jupiter ma błyskotliwy umysł i świetnie dedukuje. Pete może nie dorównuje mu intelektualnie, lecz jest za to świetnym sportowcem. Bob jest skrupulatny i dociekliwy. Razem udało im się już rozwikłać kilka naprawdę dziwnych zagadek.

Na tym jednak zakończę, ponieważ wiem, iż nie możecie się już doczekać końca tego wstępu i rozpoczęcia właściwej opowieści.

Alfred Hitchcock

Rozdział 1

Jupiter kupuje kufer

Wszystko zaczęło się od tego, że Jupiter Jones zajął się czytaniem gazety.

Trzej Detektywi - Jupiter, Pete Crenshaw i Bob Andrews - siedzieli w swojej bazie w składzie złomu Jonesów. Bob robił jakieś notatki z ostatniej sprawy. Pete delektował się porannym kalifornijskim słońcem, a Jupiter czytał gazetę.

Wtem uniósł głowę i zapytał:

- Czy któryś z was był kiedyś na aukcji?

Bob odparł, że nie. Pete pokręcił przecząco głową.

- Ja też nie byłem - powiedział Jupiter. - W gazecie jest ogłoszenie o porannej aukcji w Domu Aukcyjnym Davisa w Hollywoodzie. Wystawiony będzie bezpański bagaż z różnych hoteli. Przeczytałem tu, że mają kufry i walizki z nieznaną zawartością, pozostawione przez gości hotelowych, którzy zapomnieli je zabrać lub nie mieli pieniędzy na zapłacenie rachunku. Myślę, że wyprawa na taką aukcję może być interesująca.

- Czyżby? - zapytał Pete. - Nie jestem zainteresowany walizką pełną czyichś znoszonych ubrań.

- Ani ja - powiedział Bob. - Chodźmy popływać.

- Powinniśmy szukać nowych wrażeń - powiedział Jupiter. - Każde nowe doświadczenie wzbogaca nas jako detektywów. Dowiem się, czy wujek Tytus pozwoli Hansowi zawieźć nas do Hollywoodu pikapem.

Hans, jeden z dwóch braci rodem z Bawarii, którzy pracowali w składnicy złomu, był akurat wolny. I tak, godzinę później, chłopcy znaleźli się w wielkim, zatłoczonym pomieszczeniu. Przyglądali się niskiemu grubasowi, który z podwyższenia prowadził aukcję, wyzbywając się walizek i kufrów najszybciej, jak mógł. Akurat postawił przed sobą walizkę wyglądającą na całkiem nową i poprowadził licytację.

- Po raz pierwszy! Po raz pierwszy! - krzyczał. - Po raz drugi! Po raz drugi!... Sprzedana! Kupiona za dwanaście dolarów i pięćdziesiąt centów przez pana w czerwonym krawacie.

Licytator uderzył młotkiem na znak, że transakcja została zawarta. Następnie odwrócił się i sięgnął po kolejny bagaż.

- A teraz numer 98! - zawołał śpiewnie. - Niezwykle ciekawy przedmiot, panie i panowie. Ciekawy i niespotykany. Chłopcy, podnieście go tak, żeby wszyscy widzieli.

Dwóch osiłków ustawiło na podwyższeniu mały, staromodny kufer. Pete zaczął się kręcić niespokojnie. Dzień był upalny i w pomieszczeniu zrobiło się duszno. Licytacja bagaży o nieznanym zawartości zdawała się coraz bardziej wciągać niektórych z jej uczestników. Pete jednak nie znajdował w tym nic ciekawego.

- Jupe, chodźmy stąd! - mruknął do przyjaciela.

- Jeszcze chwileczkę - odszepnął Jupiter. - To wygląda całkiem interesująco. Chyba się zgłoszę.

- Po to? - Pete wytrzeszczył oczy na kuferek. - Całkiem oszalałeś.

- Mimo wszystko, chyba spróbuję. Jeśli jest wart cokolwiek, podzielimy się równo.

- Wart cokolwiek? Jest pewnie pełen łańców, które wyszły z mody w 1890 - stwierdził Bob.

Kuferek rzeczywiście wyglądał na stary. Zrobiony był z drewna, oblamowany skórą i ozdobiony skórzanymi rzemieniami. Półokrągłe wieko wydawało się zamknięte na siedem spustów.

- Panie i panowie! - krzyknął licytator. - Proszę zwrócić uwagę na to cacko. Wiercie mi, takich kufrów nie robi się już w naszych czasach!

Tłum odpowiedział stłumionym śmiechem. Z całą pewnością takich kufrów już się nie robiło. Ten mógł mieć około pięćdziesięciu lat, lekko licząc.

- To pewnie kufer jakiegoś starego aktora - szepnął Jupiter do swych przyjaciół. - Aktorzy grający w trupach objazdowych wozili swoje kostiumy w takich kufrach.

- Akurat najbardziej nam teraz potrzeba sterty starych kostiumów - odburknął Pete. - Daj spokój, Jupe...

Tymczasem licytator kontynuował swoje zachwalanie.

- Spójrzcie tylko, panie i panowie, przyjrzyjcie mi się! - krzyczał.

- Zaiste nienowa to rzecz. Potraktujcie go jako antyk, jako drogą pamiątkę z czasów naszych dziadków. A co też skrywa on w swoim wnętrzu?

Zastukał w kufer. Rozległ się głuchy odgłos.

- Któż może wiedzieć, co się w nim kryje? Może być tam wszystko. Kto wie, moi państwo, może są tam klejnoty rodowe ostatnich carów Rosji? Nic mogę tego zagwarantować, ale nie mogę też tego całkiem wykluczyć. A więc od czego zaczynamy licytację? Proszę o zgłoszenia! Proszę o zgłoszenia!

Tłum milczał. Najwyraźniej nikt nie miał ochoty na stary kufer. Licytator był poirytowany.

- No śmiało, kochani! - prosił. - Czekam na ofertę! Zaczynamy licytację! Ten

wspaniały, antyczny kufer, ta drogocenna pamiątka dawno minionych dni, ten ...

Właśnie zaczynał się rozkręcać, kiedy Jupiter wystąpił do przodu.

- Jeden dolar! - zawołał nieco piskliwym z przejęcia głosem.

- Jeden dolar! - przerwał sam sobie licytator. - Jeden dolar od stojącego w pierwszym rzędzie młodego człowieka o inteligentnym wyglądzie. I wiecie państwo, co teraz zrobię? Wynagrodzę mu tę inteligencję i sprzedam kufer za jednego dolara! Sprzedany!

I huknął młotkiem z całych sił. Tłum zachichotał. Nie było więcej chętnych na kufer i licytator nie zamierzał marnować czasu na zachęcanie do dalszych ofert. Tak oto, nieco oszołomiony, Jupiter Jones stał się właścicielem antycznego kufereka o nieznannej zawartości, zamkniętego na siedem spustów.

Nagle gdzieś z tyłu powstało zamieszanie. Jakaś kobieta przepychała się przez tłum. Była to mała, siwa staruszka w staromodnym kapeluszu i okularach w złotej oprawce.

- Chwileczkę! - krzyczała. - Ja chcę licytować. Dziesięć dolarów! Daję dziesięć dolarów za ten kuferek!

Ludzie przyglądali się jej, zdumieni, że ktoś dawał aż dziesięć dolarów za taki stary rupieć.

- Dwadzieścia dolarów! - wołała staruszka, machając ręką. - Daję dwadzieścia dolarów!

- Przykro mi, proszę pani - odpowiedział licytator. - Ten przedmiot został już sprzedany. Nie odwołujemy zawartych transakcji. Zabierzcie to, panowie, zabierzcie. To nie koniec licytacji.

Dwaj robotnicy znieśli kufer z podwyższenia i postawili koło Trzech Detektywów.

- Proszę bardzo - powiedział jeden z robotników. Pete i Jupiter podeszli do kufra.

- Wygląda na to, że staliśmy się właścicielami tego starego grata - mruknął Pete, chwytając skórzany uchwyt z jednego boku. - I co teraz z nim zrobimy?

- Zabierzemy do składu złomu i otworzymy - odparł Jupiter, chwytając za uchwyt z drugiej strony.

- Chwileczkę, panowie - odezwał się drugi robotnik. - Najpierw trzeba zapłacić. Nie można zapominać o takim drobnym szczególe.

- Ach, tak, oczywiście - powiedział Jupiter. Opuścił kufer i sięgnął do kieszeni po skórzany portfel. Wyjął z niego dolarowy banknot i podał go mężczyźnie. Ten nabazgrał coś na skrawku papieru i wręczył Jupiterowi ze słowami;

- Oto pokwitowanie. Teraz kuferek należy do pana. Jeśli w środku są klejnoty, też są pańskie. Cha, cha!

Śmiejąc się, pozwolił chłopcom zabrać ich własność. Bob szedł przodem, torując drogę w tłumie, a Jupiter i Pete nieśli kuferek na drugi koniec sali. Właśnie udało im się pokonać ostatni rząd ludzi, kiedy dopadła ich siwa staruszka, która spóźniła się na licytację.

- Chłopcy - powiedziała. - Odkupię od was ten kuferek za dwadzieścia pięć dolarów. Zbieram stare kufry i chciałabym go mieć w swojej kolekcji.

- O rany! Dwadzieścia pięć dolarów! - wykrzyknął Pete.

- Bierz je, Jupe! - powiedział Bob.

- To dla was prawdziwa okazja. Ten kuferek nie jest wart ani centa więcej, nawet dla kolekcjonera - namawiała staruszka. - Proszę, oto dwadzieścia pięć dolarów.

Wyjęła pieniądze z wielkiego portfela i wcisnęła je Jupiterowi. Ku zdziwieniu Boba i Pete'a, Jupiter pokręcił odmownie głową.

- Bardzo mi przykro, proszę pani - powiedział. - Wcale nie zamierzamy sprzedawać kufierka. Chcemy sprawdzić, co jest w środku.

- Na pewno nic wartościowego - stwierdziła staruszka coraz bardziej zdenerwowana. - Proszę, masz tu trzydzieści dolarów.

- Nie, dziękuję - powiedział Jupiter, kręcąc głową. - Naprawdę nie zamierzam go sprzedawać.

Kobieta westchnęła. Nagle, kiedy właśnie miała się odezwać, coś ją spłoszyło. Odwróciła się i szybko zniknęła w tłumie. Najwyraźniej przeraziło ją pojawienie się młodego człowieka z aparatem fotograficznym.

- Cześć, chłopcy - odezwał się młody człowiek. - Nazywam się Fred Brown. Jestem reporterem z "Wiadomości Hollywoodu" i szukam materiału na reportaż. Chciałbym zrobić wam zdjęcie z tym kufierkiem. To jedyna niezwykła rzecz na tej aukcji. Unieście go, dobrze? O, tak. A ty - zwrócił się do Boba - stań za nim, tak żeby cię było widać na zdjęciu.

Bob i Pete byli niezdecydowani, ale Jupiter szybko ustawił się zgodnie z życzeniem reportera. Stojąc za kufierkiem, Bob dostrzegł na wieku wyblakły, biały napis "Guliwer Wielki". Młody mężczyzna ustawił aparat. Błysnął flesz i zdjęcie zostało zrobione.

- Dzięki - powiedział reporter. - Czy moglibyście podać mi swoje nazwiska i powiedzieć, dlaczego nie przyjęliście trzydziestu dolarów za tę skrzynkę? Jak na mój gust, to całkiem niezły interes.

- Jesteśmy po prostu ciekawi - odparł Jupiter - co zawiera ten stary teatralny kuferek. Kupiliśmy go dla zabawy, a nie po to, by zbijać na nim fortunę.

- A więc nie wierzycie, że w środku są klejnoty rosyjskich carów? - zachichotał Fred Brown.

- Eee tam - burknął Pete. - Pewnie są tam stare kostiumy teatralne.

- Być może - zgodził się młody człowiek. - Ten napis "Guliwer Wielki" brzmi bardzo teatralnie. A skoro już jesteśmy przy nazwiskach, to nie dosłyszałem waszych.

- Bo ich nie podaliśmy - odparł Jupiter. - Ale proszę, oto nasza wizytówka. My-y... hmm... no więc, my-y prowadzimy dochodzenia.

Wręczył reporterowi jedną z wizytówek Trzech Detektywów, które zawsze nosili przy sobie.

TRZEJ DETEKTYWI

Badamy wszystko

???

Pierwszy Detektyw Jupiter Jones

Drugi Detektyw Pete Crenshaw

Dokumentacja i analizy Bob Andrews

- Ach, tak? - reporter uniósł brwi. - Jesteście detektywami? A co mają oznaczać te znaki zapytania?

- To nasz symbol - wyjaśnił Jupiter. - Oznaczają nierozwiązane sprawy, zagadki bez odpowiedzi, wszelkiego rodzaju tajemnice. Dlatego stanowią nasz znak firmowy. Badamy wszystko.

- A teraz badacie stary kufer teatralny - powiedział z uśmiechem młody człowiek i schował wizytówkę do kieszeni. Bardzo wam dziękuję. Może zobaczycie swoje zdjęcie w wieczornym wydaniu. Jeśli, oczywiście, ta historia spodoba się redaktorowi.

Uniósł rękę w pożegnalnym geście i odwrócił się. Jupiter ponownie dźwignął kufer.

- No dalej, Pete, musimy wynieść go na zewnątrz. Nie możemy kazać Hansowi tyle na nas czekać.

Bob torował drogę, a Jupiter z Pete'em taszczyli kufer w stronę wyjścia. Pete nadal był niezadowolony.

- Po co podałeś temu facetowi nasze nazwiska? - zapytał.

- Reklama - odparł Jupiter. - Każdy interes wymaga reklamy. ostatnio niewiele mieliśmy ciekawych zgłoszeń o tajemnicach z prawdziwego zdarzenia. Trzeba się trochę rozejrzeć za robotą, bo inaczej zaśniejdziemy.

Wyszli na zewnątrz przez wielkie drzwi i skręcili w boczną uliczkę, gdzie stał zaparkowany pikap. Załadowali kufer do tyłu, a sami usiedli w szoferce obok Hansa.

- Wracamy do domu, Hans - powiedział Jupiter. - Dokonailiśmy zakupu i teraz

musimy go dokładnie obejrzeć.

- Tak jest, Jupe - przytaknął Hans, włączając motor. - Mówisz że kupiliście coś?

- Stary kufer - odparł Pete. - Ciekawe tylko, jak go otworzymy, Pierwszy Detektywie?

- W składzie pełno jest kluczy - odrzekł Jupiter. - Przy odrobinie szczęścia może dopasujemy któryś z nich.

- A może będziemy musieli wyłamać zamek - stwierdził Bob.

- Nie - Jupiter potrząsnął głową. - Moglibyśmy uszkodzić kuferek.

Reszta drogi upłynęła w milczeniu. Kiedy dotarli do składu złomu Jonesów w Rocky Beach. Pete i Jupiter podali kufer Hansowi, a ten postawił go na boku, koło przyczepy, z której wyszła pani Jones.

- Na litość boską, co wyście kupili? - zapytała. - Ależ ten kufer jest tak stary, jakby przybył tu na "Mayflower".

- Niezupełnie, ciociu Matyldo - odrzekł Jupiter. - Ale rzeczywiście jest stary. Daliśmy za niego dolara.

- No, przynajmniej nie zmarnowaliście dużo pieniędzy - stwierdziła ciotka. - Przypuszczam, że teraz potrzebne są wam klucze, żeby go otworzyć. Cały pęk wisi na gwoździu nad biurkiem.

Bob pobiegł po klucze. Jupe zaczął dopasowywać te, które zdawały się mieć odpowiedni rozmiar. Po półgodzinie dał za wygraną. Żaden z kluczy nie pasował.

- I co teraz? - spytał Pete.

- Wyważamy? - zaproponował Bob.

- Jeszcze nie - odparł Jupiter. - Zdaje się, że wuj Tytus ma jeszcze schowane jakieś klucze. Musimy poczekać, aż wróci, i wtedy go o nie poprosimy.

Ciotka Jupitera znów pojawiła się w drzwiach przyczepy, która służyła jej za biuro.

- No, chłopcy - zawołała wesoło - nie można tak marnować czasu. Pora wziąć się do pracy. Zjecie coś i do roboty. Stary kufer może poczekać.

Chłopcy, ociągając się, poszli na obiad do ładnego piętrowego domu obok składnicy złomu. Mieszkał w nim Jupiter wraz z ciotką Matyldą i wujem Tytusem. Po jedzeniu zajęli się naprawianiem zepsutych urządzeń zwożonych do składnicy. Tytus Jones sprzedawał je później i część zysku przeznaczał na kieszonkowe dla chłopców. Pracowali pilnie aż do późnego popołudnia, kiedy Tytus Jones, Konrad i jeszcze jeden pomocnik przywieźli ciężarówką kolejny transport złomu.

Tytus Jones, niski mężczyzna o potężnym nosie i wielkich, czarnych wąsach, zeskoczył na ziemię lekko jak młodzieniaszek i objął żonę na przywitanie. Następnie

pomachał gazetą.

- Chłopcy, chodźcie tutaj! - zawołał. - Jesteście w gazecie.

Wszyscy trzej podeszli zaciekawieni do wuja Tytusa i ciotki Matyldy. Tytus Jones otworzył pismo na pierwszej stronie dodatku. Rzeczywiście było tam ich zdjęcie. Jupiter i Pete trzymali kufer, a Bob stał za nim. Było to zupełnie dobre zdjęcie. Nawet napis "Guliwer Wielki" wyszedł wyraźnie. Artykuł zatytułowany był "MŁODZI DETEKTYWI ROZWIĄZUJĄ TAJEMNICĘ KUFRA". Autor w żartobliwym tonie opowiadał, jak Jupiter kupił kufer i odmówił sprzedania go z zyskiem. Sugerował, że chłopcy spodziewali się znaleźć w nim coś tajemniczego i drogiego. To ostatnie dodał już od siebie, aby ubarwić opowieść.

Reporter podał ich nazwiska i napisał, że bazą operacyjną trójki jest skład złomu Jonesów w Rocky Beach.

- To się nazywa reklama - stwierdził Pete. - Ale to stwierdzenie, że spodziewamy się znaleźć w kufrze coś drogiego, brzmi trochę niepoważnie.

- To dlatego, że licytator wspominał o klejnotach rosyjskich carów - powiedział Jupiter. - Musimy wyciąć ten artykuł i wkleić do naszego zeszytu z wycinkami.

- Zrobisz to później - powiedziała stanowczo pani Jones. - Teraz pora na kolację. Ustaw gdzieś kufer i umyj ręce. Bob, Pete, zjecie dziś z nami?

Bob i Pete jadali u Jonesów równie często, jak u siebie. Tym razem uznali jednak, że powinni wrócić do domu i odjechali na rowerach. Jupiter przysunął stary kufer do przyczepy-biura tak, by nikomu nie zawadzał, i poszedł na kolację. Pan Jones zamknął na klucz wielkie żelazne wrota składu złomu. Były piękne, bogato zdobione, uratowane z pożaru jakiejś posiadłości.

Przez resztę wieczoru nie wydarzyło się nic szczególnego. Kiedy Jupiter miał właśnie iść spać do swojego pokoju, rozległo się ciche pukanie do drzwi. Byli to Hans i Konrad, mieszkający w domku na zapleczu.

- Chcieliśmy tylko powiedzieć, panie Jones - odezwał się cicho Hans - że zauważyliśmy jakieś światła w składzie złomu i zajrzeliśmy przez płot. Ktoś tam chyba myszkuje. Może byśmy poszli razem to sprawdzić?

- Rany boskie, złodzieje! - jęknęła pani Jones.

- Zobaczymy co się dzieje, droga Matyldo - powiedział pan Jones.

Z Hansem i Konradem mamy radę wszystkim włamywaczom. Podejźmy cicho i zaskoczmy ich.

Pan Jones razem ze swoimi krzepkimi pomocnikami ruszył cicho w kierunku bramy

złomowiska. Jupiter podążył za nimi. Nikt mu tego nie proponował, ale też nikt nie zabronił.

Przez szpary między sztachetami dojrzeliby migotanie światła latarki. Poruszali się bezszelestnie. Nagle... katastrofa! Hans potknął się i z hałasem zwałił na ziemię, wydając okrzyk zdziwienia.

Nocni goście usłyszeli go. Rozległ się tupot i dwie ciemne postaci wybiegły frontową bramą, wskoczyły do zaparkowanego nieopodal samochodu i z rykiem silnika odjechały.

Pan Jones, Konrad i Jupiter puścili się biegiem. Brama wejściowa stała i dworem. Zamek wyłamano. Po złodziejach ani śladu. Nagle Jupiter, tknięty złym przeczuciem, pobiegł tam, gdzie zostawił kufer.

Tajemniczy kufer zniknął!

Rozdział 2

Niezwykły gość

Bob Andrews wjechał na rowerze do składu złomu Jonesów przez główną bramę. Był jasny, słoneczny poranek późnego lata. Zapowiadał się ciepły dzień. Pete i Jupiter pracowali już. Pete rozkładał na części zardzewiałą kosiarkę do trawy, a Jupiter pokrywał grubą warstwą białej emalii żelazne krzesła ogrodowe, z których wcześniej usunął rdzę.

Z przygnębionymi minami przyglądali się, jak Bob ustawiał rower i szedł w ich kierunku.

- Cześć, Bob - odezwał się Jupiter. - Weź szczotkę i bierz się do roboty. Jeszcze sporo krzeseł zostało do oczyszczenia.

- Czy udało wam się otworzyć kufer? - wykrzyknął Bob. - Co było w środku?

- Kufer? - Pete zaśmiał się tubalnie. - O jakim kufrze mówisz, Bob?

- Przecież wiecie o jakim - odparł Bob zaskoczony. - O kufrze, który Jupiter kupił wczoraj na aukcji. Moja mama uważa, że nasze zdjęcie w gazecie wyszło całkiem niezłe. Też jest ciekawa, co zawiera kufer.

- Zdaje się, że wszyscy są ciekawi, co zawiera ten kufer - powiedział Jupiter, nabierając farbę. - Zbyt ciekawi. Trzeba było go sprzedać i jeszcze byśmy na tym zarobili.

- O czym ty mówisz? - zapytał Bob.

- On mówi, że nie ma już żadnego kufra - odparł Pete. - Został ukradziony.

- Ukradziony! - Bob szeroko otworzył oczy. - Kto go ukradł?

- Nie wiemy - powiedział Jupiter i opisał Bobowi wydarzenia poprzedniej nocy. - Dwaj mężczyźni uciekli samochodem, a kufer zniknął - zakończył Jupiter. - To oni musieli go ukraść.

- O rany! Ciekawe, do czego był im potrzebny! - wykrzyknął Bob.

- Jak myślicie, co w nim było?

- Może byli po prostu ciekawi - głośno zastanawiał się Pete. - Przeczytali artykuł i chcieli się przekonać, czy mówił prawdę.

- Nie sądzę - Jupiter potrząsnął głową. - Nikt nie kradnie kufra wartego dolara tylko po to, żeby zaspokoić ciekawość. Nie warto byłoby aż tak ryzykować. Musieli mieć cynk, że w środku jest coś cennego. Coraz bardziej żałuję, że nie przyjrzelśmy się bliżej temu kuferkowi. Szkoda, że go straciliśmy.

Rozmowę chłopców przerwało pojawienie się luksusowego, niebieskiego samochodu.

Wysiadł z niego wysoki, chudy mężczyzna z dziwnie zakrzywionymi brwiami. Podeszedł do chłopców.

- Dzień dobry - powiedział. Spojrzał na Jupitera. - To ty jesteś Jupiter Jones?

- Tak, proszę pana - odpowiedział Jupiter. - Czym mogę panu służyć? Ciotki i wuja nie ma chwilowo, ale ja mogę panu sprzedać to, co pana interesuje.

- Interesuje mnie tylko jedna rzecz - odparł wysoki nieznajomy. - Wczoraj, jak dowiedziałem się z gazety, kupiłeś stary kufer. Na aukcji. Za wielką kwotę jednego dolara. Zgadza się?

- Tak, proszę pana - potwierdził Jupiter, przyglądając się mężczyźnie. Zarówno jego wygląd, jak i sposób mówienia były nieco dziwne. Wszystko się zgadza.

- To świetnie - powiedział mężczyzna. - Nie traćmy więc czasu na czcze rozmowy. Chcę odkupić od ciebie ten kufer. Mam nadzieję, że jeszcze go nie sprzedałeś?

- Nie, proszę pana. Nie sprzedaliśmy go - przyznał Jupiter. - Ale...

- A więc wszystko w porządku - powiedział nieznajomy i pomachał dłonią, w której trzymał plik zielonych banknotów rozpostartych jak wachlarz. - Spójrz - powiedział. - Sto dolarów. Dziesięć banknotów dziesięciodolarowych. Daję ci je w zamian za kufer. - Widząc wahanie Jupitera, dodał: - To z pewnością wystarczająca cena. Chyba nie spodziewasz się dostać więcej za staromodny kufer pełen rupieci?

- Nie, proszę pana - zaczął Jupiter. - Ale...

- Nie chcę słyszeć żadnego ale! - powiedział ostro mężczyzna. - oferuję ci uczciwą cenę. Chcę kupić ten kufer z powodów uczuciowych. Gazeta podała, że należał do Guliwera Wielkiego. Zgadza się?

- No, tak - odparł Jupiter, podczas gdy Bob i Pete przysłuchiwali się rozmowie z zaciekawieniem - tak było na nim napisane. Ale...

- Znowu jakieś ale! - krzyknął mężczyzna. - Nie przyjmuję żadnych ale! - jak powiedział Szekspir. Tak się składa, że Guliwer Wielki był kiedyś moim przyjacielem. Nie widziałem go od kilku lat. Obawiam się, że me ma go już między nami. Odszedł. A mówiąc wprost, umarł. Chciałbym zachować ten kufer na pamiątkę dawnych czasów. Proszę, to moja wizytówka.

Strzelił palcami. Pieniądze, które trzymał w dłoni, zamieniły się w małą białą karteczkę. Podał ją Jupiterowi. Były na niej słowa: "Maksymilian Mistyczny", a poniżej - "Klub Czarnoksiężników" i jakiś adres w Hollywoodzie.

- Pan jest magikiem! - wykrzyknął Jupiter.

Maksymilian Mistyczny pokłonił się lekko.

- Kiedyś nawet bardzo sławnym - odparł. - Występowałem przed wszystkimi koronowanymi głowami Europy. Teraz już jestem na emeryturze i poświęcam czas spisaniu historii czarnej magii. Z rzadka tylko daję jakiś mały popis moich umiejętności przed gronem przyjaciół. Ale wracajmy do rzeczy.

Ponownie strzelił palcami i znów w jego dłoni pojawiły się banknoty.

- Dokończmy naszą transakcję - powiedział. - Mam pieniądze. Pragnę mieć ten kufer. Ty prowadzisz interes kupno-sprzedaż. Wszystko jest jasne i proste. Ty sprzedajesz, ja kupuję. Dlaczego się wahasz?

- Dlatego, że nie mogę sprzedać panu tego kufra! - wybuchnął Jupiter. - Od początku próbuję to panu powiedzieć.

- Nie możesz? - Dziwnie wygięte brwi magika zeszły się jeszcze bliżej. Twarz przybrała prawdziwie złowieszczy wyraz. - Oczywiście, że możesz. Nie przeciągaj struny, chłopcze. Wciąż umiem posługiwać się czarami. A jeśli, powiedzmy... - wyciągnął głowę do Jupitera, a jego oczy rzucały złowrogie błyski - powiedzmy strzelę palcami, a ty znikniesz? Puff! O, tak. Po prostu się rozpułniesz i nie wrócisz nigdy więcej. Wtedy pożałujesz, że mnie rozgniewałeś.

Maksymilian Mistyczny mówił tak groźnie, że Bob i Pete głośno przełknęli ślinę. Nawet Jupiter miał niepewną minę.

- Nie mogę sprzedać panu tego kufra - wykrztusił - ponieważ go nie mam. Zeszłej nocy został ukradziony.

- Ukradziony! Czy mówisz prawdę, chłopcze?

- Tak, proszę pana. - I Jupiter już po raz trzeci tego poranka zrelacjonował wydarzenia ubiegłej nocy. Maksymilian słuchał z uwagą. Na koniec westchnął.

- Jaka szkoda! - powiedział. - Powinienem być tu przyjechać natychmiast po przeczytaniu gazety. Czy zauważyliście coś szczególnego u tych złodziei?

- Uciekli, zanim zdążyliśmy się do nich zbliżyć - odparł Jupiter.

- To niedobrze, bardzo niedobrze - mruknął magik. - I pomyśleć tylko, że kufer Guliwera Wielkiego pojawił się tak niespodziewanie, by zaraz na nowo zniknąć. Ciekawe, do czego był im potrzebny.

- A może faktycznie zawiera coś cennego - podsunął Bob.

- Nonsens! - powiedział Maksymilian. - Guliwer Wielki nigdy nie posiadał niczego cennego, biedaczek. Niczego oprócz swojej magii. Być może w kufrze są jakieś jego stare sztuczki, ale one mają wartość tylko dla innego maga, takiego jak ja. Czy wam mówiłem, że Guliwer Wielki był magikiem? Zresztą, na pewno już się sami domyśliliście. Tak naprawdę

nie był wcale wielki, choć sam tak się nazwał. Był mały i pulchny. Miał okrągłą twarz i czarne włosy. Czasami ubierał się w długie, orientalne stroje, by wyglądać jak czarnoksiężnik z Dalekiego Wschodu. Znał pewną sztukę i miałem nadzieję, że być może... ale teraz to już bez znaczenia. Kufra nie ma.

Przez chwilę milczał zamyślony. Nagle wzruszył ramionami i pieniądze z jego dłoni zniknęły.

- Cała wyprawa na nic - stwierdził. - Ale istnieje jeszcze możliwość, że odzyskacie kufer. A jeśli tak się stanie, to pamiętajcie, Maksymilian Mistyczny potrzebuje go!

Utkwił w Jupiterze przenikliwe spojrzenie.

- Czy rozumiałeś, młody człowieku? Potrzebuję tego kufra. Dobrze za niego zapłacę, jeśli się znajdzie. Skontaktujesz się ze mną w "Klubie Czarnoksiężników". Zgoda?

- Nie wiem, jakim cudem mielibyśmy odzyskać ten kufer - powiedział Pete.

- Niemniej, może tak się stać - nalegał Maksymilian. - A jeśli tak będzie, to ja mam do niego pierwszeństwo. Umowa stoi, chłopcy?

- Jeśli kufer się odnajdzie, to nie sprzedamy go nikomu bez porozumienia z panem, panie Maksymilianie. To wszystko, co mogę obiecać. Ale jak już powiedział Pete, nie wiem, jakim cudem mielibyśmy odzyskać ten kufer. Złodzieje są już pewnie daleko stąd.

- Pewnie tak - zgodził się magik przygnębiony. - No cóż, poczekamy i zobaczymy, co się wydarzy. Tylko nie zgub mojej wizytówki.

Włożył rękę do kieszeni i zdziwiony wyjął z niej jajko.

- Skąd się to, u licha, wzięło w mojej kieszeni? Hej, chłopcze, łap!

Rzucił jajkiem w Pete'a. Ten podniósł rękę, aby je schwytać, ale rozpląnęło się w powietrzu, zanim do niego doleciało.

- Hmm - mruknął magik - to musiało być jajo ptaka dodo. Jak zapewne wiecie, to gatunek wymarły. Tak, tak, pora na mnie. Nie zapomnijcie do mnie zadzwonić.

Ruszył do samochodu. Trzej Detektywi w każdej chwili spodziewali się kolejnej sztuczki, ale ich dziwny gość po prostu wyjechał przez bramę i skręcił w główną ulicę.

- O rany! - odezwał się Pete. - To się nazywa klient!

- Rzeczywiście bardzo mu zależało na tym kufrze - dodał Jupiter. - Ciekawe, czy tylko z tego powodu, że on i Guliwer Wielki byli magami? Czy też może kufer zawiera coś specjalnego, co Maksymilian chciał mieć tylko dla siebie?

Kiedy zastanawiali się nad tym, przez bramę wjechał drugi samochód. W pierwszej chwili myśleli, że wraca Maksymilian. Był to jednak mniejszy, zagraniczny samochód typu sedan. Zatrzymał się i wysiadł z niego młody mężczyzna. Poznali reportera, który zrobił im

zdjęcie na aukcji.

- Cześć - powiedział - pamiętacie mnie? Fred Brown...

- Tak, proszę pana - odpowiedział Jupiter. - Co możemy dla pana zrobić?

- Przyjechałem, żeby zobaczyć, czy otworzyliście już kufer - odparł reporter. - Myślę, że byłby to znowu materiał na pierwszą stronę. Zdaje się, że w tym kufrze jest coś wyjątkowego. Sądzę, że jest w nim mówiąca czaszka!

Rozdział 3

Tajemnica za tajemnicą

- Mówiąca czaszka? - krzyknęli chłopcy jednocześnie.

Fred Brown skinął głową.

- Zgadza się. Prawdziwa mówiąca czaszka. Czy znaleźliście ją?

Jupiter zmuszony był wyznać, że niczego nie znaleźli, ponieważ kufer został ukradziony. Ponownie opowiedział całą historię. Reporter zmarszczył brwi.

- No, proszę! - wykrzyknął. - I już mam materiał na pierwszą stronę! Ciekawe, kim są złodzieje? Pewnie dowiedzieli się o kufrze z mojego artykułu.

- Mnie też się tak wydaje, panie Brown - zgodził się Jupiter. - I być może ktoś jeszcze wiedział o tej czaszce i chciał ją zdobyć. Czy ta czaszka naprawdę wydaje z siebie ludzki głos?

- Mówcie do mnie Fred - powiedział reporter. - Nie mogę potwierdzić, czy ta czaszka mówi, czy nie. Podobno ma takie właściwości. Widzicie, zastanowił mnie napis na kufrze - "Guliwer Wielki". Byłem pewien, że już gdzieś zetknąłem się z tym nazwiskiem. Sprawdziłem więc w kostnicy... wiecie, co to jest kostnica w gazecie?

Kiwnęli potakująco głowami. Ojciec Boba pracował w gazecie, więc wiedzieli, że kostnica prasowa to pomieszczenie, w którym trzyma się stare numery, wycinki, zdjęcia. Wszystko posegregowane tak, by można było korzystać z tych informacji. W rzeczywistości jest to archiwum faktów o ludziach i wydarzeniach.

- A więc - kontynuował Fred Brown - postanowiłem poszukać czegoś o Guliwerze Wielkim. Jak się domyślacie, znalazłem o nim kilka wzmianek. Magikiem, zdaje się, wielkim nie był, lecz zasłynął z pewnej niezwyklej sztuczki. Posiadał gadającą czaszkę. Rok temu Guliwer zniknął. Ulotnił się jak przedmioty z jego magicznych sztuczek. Nikt nie wie, czy umarł, czy nie. Zostawił jednak swój kufer w hotelu, a ty wczoraj kupiłeś go na aukcji. Pomyślałem, że pewnie schował w kufrze magiczne przyrządy, łącznie z czaszką, i że może być z tego całkiem niezły materiał.

- Powiedziałeś, że zniknął? - odezwał się Bob.

- Cała ta sprawa wygląda mi dość tajemniczo - Jupiter zmarszczył lekko brwi. - Znikający magik, znikający kufer i czaszka, która podobno mówi. Doprawdy, bardzo to wszystko tajemnicze.

- Zaraz, zaraz! - zaprotestował Pete. - Nie podoba mi się twoja mina, Jupe. Czuję, że

chodzi ci po głowie rozpoczęcie dochodzenia. A ja nie chcę mieć do czynienia z żadnymi gadającymi czaszkami. Przede wszystkim nie wierzę w ich istnienie i wolałbym się nie przekonywać, że jest inaczej.

- Nie możemy prowadzić dochodzenia, ponieważ kufer zniknął - odpowiedział mu Jupiter. - Ale chętnie dowiedziałbym się czegoś więcej o Guliwerze Wielkim, Fred.

- Nie ma sprawy - odparł reporter. Usiadł na jednym z jeszcze nie pomalowanych, żelaznych krzeseł Jupitera. - W ogólnym zarysie wygląda to tak: Guliwer był mało znanym magikiem, ale miał tę czaszkę, która podobno mówiła. Leżała sama na szklanym stole, bez żadnych innych przyrządów, i odpowiadała na pytania.

- Brzuchomówstwo? - zapytał Jupiter. - To sam Guliwer odpowiadał bez poruszania ustami?

- Być może. Ale czaszka mówiła nawet wtedy, gdy Guliwer siedział w odległym kącie pokoju, albo kiedy w ogóle go w nim nie było. Nawet inni magowie nie mogli pojąć, jak to się działo. W końcu miał nawet z tego powodu kłopoty z policją.

- Jak do tego doszło? - zapytał Bob.

- No cóż, Guliwerowi nie wiodło się zbyt dobrze jako magikowi, zajął się więc przepowiadaniem przyszłości, co jest nielegalne. Nie nazywał tego wrózeniem. Nazywał siebie doradcą. Ubierał się jednak w orientalne stroje i przyjmował w pokoju pełnym mistycznych symboli. Za odpowiednią opłatą ludzie przesądni mogli tam przyjść i zadawać czaszce pytania. Nadał jej nawet imię - Sokrates, po mędrцу starożytnej Grecji.

- I czaszka odpowiadała na pytania? - zapytał Bob.

- Tak mówiono. Podobno radziła ludziom w ich problemach. Lecz Guliwer posunął się za daleko. Sokrates zaczął doradzać posunięcia na giełdzie i tym podobne. Niektórzy ponieśli duże straty i zawiadomili policję. Guliwera oskarżono o nielegalne wróżbiarstwo i osadzono w więzieniu.

Przesiedział w nim prawie rok. Kiedy wyszedł, porzucił magię i wrózenie i znalazł sobie posadę urzędnika. Aż tu pewnego dnia... puff! Po prostu zniknął. Rozeszły się pogłoski, że jakieś czarne typy o niego pytały... ale nikt nie wie dlaczego. Może bandytom zależało na nim i na Sokratesie, i znikając chciał przed nimi uciec.

- Ale kufra ze sobą nie zabrał - powiedział Jupiter, przygryzając dolną wargę, co zawsze wskazywało na intensywną pracę jego zwojów mózgowych. - To by oznaczało, że albo coś mu się stało, albo musiał uciekać bez chwili zwłoki.

- Słuszne rozumowanie - przyznał Fred. - Być może miał wypadek i nigdy nie odzyskał świadomości.

- Założę się, że z tego samego powodu Maksymilian szukał kufra - odezwał się Pete. - Chciał poznać tajemnicę czaszki, by wykorzystać ją do własnych występów. Może rzeczywiście był przyjacielem Guliwera, ale uważał, że skoro Guliwer zniknął, to można przejąć jego magiczne sztuczki.

- Maksymilian? - zapytał Fred Brown.

Jupiter opowiedział o wcześniejszej wizycie wysokiego, chudego maga.

- Skoro chciał kupić kufer, to z pewnością nie miał nic wspólnego z jego kradzieżą - stwierdził Fred. - Ciekawe, czy złodzieje liczyli na to, że Sokrates będzie dla nich pracował. No, ale to już jest bez znaczenia. Miałem nadzieję, że znajdę tu dobry materiał na artykuł i zrobię wam zdjęcie razem z czaszką. Jupiter mógłby się przebrać w strój Guliwera. Ale to już niemożliwe. No, czas na mnie. Miło było was znowu zobaczyć.

Fred Brown odjechał. Jupiter siedział ze smutną miną.

- To mogła być wspaniała tajemnica do zbadania - powiedział. - żałuję, że kufer zniknął.

- A ja nie - odparł Pete. - Jeśli o mnie chodzi, to wolę się trzymać z daleka od kufrow z gadającymi czaszkami. Nie chcę mieć z nimi nic wspólnego. A w ogóle to jak czaszka może mówić?

- To właśnie część tajemnicy - uśmiechnął się Jupiter. - Ale teraz nie ma już sensu zastanawiać się nad tym, ponieważ... O! Wraca wuj Tytus.

Na plac wjechała wielka ciężarówka wypełniona złomem. Wyskoczył z niej wuj Jupitera i podszedł do chłopców.

- Ciężko pracujecie, co? - mruknął i puścił do nich oko. - Dobrze, że nie ma tu ciotki Matyldy. Zaraz by wam znalazła coś do roboty. Wyglądacie na zamyślonych. O czym tak dumacie?

- Rozmyślamy o kufrze, który zniknął zeszłej nocy - odpowiedział Jupiter. - Właśnie dowiedzieliśmy się o nim czegoś ciekawego.

- Ach, o tym kufrze - zachichotał wuj Tytus. - Więc nie odnalazł się?

- Nie, skąd - odparł Jupiter. - Nie sądzę, żebyśmy go jeszcze kiedyś zobaczyli.

- Nie byłbym tego taki pewien - powiedział wuj Tytus. - Czyż nie jest to kufer magika? Może udałoby nam się sprowadzić go z powrotem przy pomocy czarnej magii?

Chłopcy spojrzeli na wuja Tytusa z uwagą.

- Co masz na myśli, wuju? - zapytał Jupiter. - Jakie czary mogłyby go tu sprowadzić?

- Może takie - powiedział wuj Tytus z tajemniczą miną. Strzelił palcami trzy razy, obrócił się dookoła z zamkniętymi oczami i zanucił: - Abrakadabra, kufer zagubiony.

Abrakadabra kufer znaleziony. A więc czary rzucone. Jeśli nie zadziałają, może sprowadzimy kufer przy pomocy logiki.

- Logiki? - powtórzył Jupiter zdumiony. Jego wuj był wesołym człowiekiem lubiącym żartować. Wyglądało na to, że teraz stroi sobie z nich żarty. Ale do końca Jupe nie był o tym przekonany.

- Jupiterze, lubisz zagadki i tajemnice - powiedział Tytus Jones. - Lubisz je rozwiązywać przy pomocy logicznego rozumowania. Zastanów się więc nad wydarzeniami ubiegłej nocy. Opowiedz mi o nich.

- No, więc... - zaczął Jupiter, wciąż główkując, do czego właściwie wuj zmierza - poszliśmy wszyscy w stronę złomowiska. Wybiegło z niego dwóch mężczyzn, którzy wskoczyli do samochodu i odjechali. Kufer zniknął.

- A więc to oni go ukradli, czy tak? - spytał wuj.

- To musieli być oni - odparł Jupiter. - Włamali się tutaj... chwileczkę! - krzyknął chłopiec. Jego puciołowata twarz lekko poróżowiała z emocji. - Kiedy nadeszliśmy, oni wciąż przeszukiwali złomowisko, nie mogąc najwyraźniej znaleźć kufra. Potem uciekli do samochodu i odjechali. Ale kiedy biegli, nie mieli przy sobie kufra. Jak więc mogli go ukraść? Gdyby mieli kufer w samochodzie, nie kręciliby się tutaj. A ponieważ nie wynieśli go, to nie oni byli złodziejami. Wniosek jest tylko jeden. Kufer ukradziono, zanim ci dwaj przyjechali do składu złomu!

Pan Jones zachichotał.

- Jupiterze - powiedział - jesteś bystrym chłopcem. Ale czasem dobrze robi przekonanie się, że nie jesteśmy tacy mądrzy, za jakich się mamy. Może nie wzięliśmy pod uwagę jeszcze jednego wniosku. Może kufer wcale nie został ukradziony. Może ci dwaj po prostu go nie znaleźli.

- Ale ja przecież postawiłem go koło biura - powiedział Jupiter. - Na samym widoku. Powinienem był zamknąć go w przyczepie, ale nie sądziłem, że ma jakąkolwiek wartość.

- Poszedłeś się umyć przed kolacją, a ja z Hansem zacząłem zamykać wszystko przed nocą - powiedział Tytus Jones. - Pomyślałem sobie "Przecież to kufer magika. Aleby się Jupiter dziwił, gdyby tak kufer zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki! Miałby okazję przeciwzyć swoje detektywistyczne umiejętności w poszukiwaniu go". I zrobiłem ci mały kawał, Jupiterze. Schowałem kufer. A kiedy nakryliśmy tych niedoszłych złodziei, postanowiłem zostawić kufer w ukryciu aż do rana na wypadek, gdyby złodzieje chcieli spróbować jeszcze raz. Zamierzałem ci o tym powiedzieć. Potem postanowiłem sprawdzić, czy sam do tego dojdiesz. Chciałem trochę pobudzić do pracy twoje szare komórki.

- Schował go pan? - krzyknął Bob. - Gdzie, panie Jones?

- Gdzie? - powtórzył za nim jak echo Pete.

- A gdzie można schować kufer tak, by nikt go nie zauważył? - spytał pan Jones.

Jupiter zaczął się rozglądać uważnie po otoczeniu. Przyglądał się stosom drewna, starych maszyn i innych przedmiotów wypełniających skład. Kufer mógł być schowany praktycznie wszędzie. Jednak wzrok Jupitera zatrzymał się na jakimś przedmiocie opartym o ścianę. W tym miejscu do muru dobudowano szeroki dach, pod którym trzymano co cenniejsze przedmioty. Stanowił dobrą osłonę przed deszczem, rzadko, co prawda, padającym w Południowej Kalifornii.

W jednym miejscu stało tu rzędem z pół tuzina starych kufrow z ciężkimi okuciami. Wszystkie w dobrym stanie i wszystkie potężne.

- Idealna kryjówka dla małego kufra to duży kufer! – wykrzyknął Jupiter. - Czy też na to wpadłeś, wuju?

- Możesz sprawdzić - zaproponował wuj Tytus.

Jupiter ruszył w tamtą stronę. Ale Pete wyprzedził go i z rozmachem otworzył pierwszy kufer. Był pusty. Jupiter otworzył następny. Ten też był pusty, podobnie jak trzeci i czwarty.

Kiedy doszli do piątego, przyłączył się do nich Bob. Otworzyli piąte wieko i znieruchomieli.

W środku wielkiego kufra stał tajemniczy "Guliwer Wielki".

Rozdział 4

Pojawia się Sokrates

- Zobaczmy, czy któryś z kluczy wuja Tytusa otworzy kufer - powiedział Jupiter.

Chłopcy wrócili do pracowni Jupitera, którą oddzielała od reszty składu sterta różnych używanych przedmiotów. Szybko przenieśli tam kufer, by móc pracować nad nim bez świadków.

Po składzie kręciło się parę osób. Ciotka Matylda była w pobliżu, by je obsłużyć. Wuj Tytus powiedział Jupiterowi, żeby razem z Bobem i Pete'em zrobili sobie przerwę w pracy, aż do chwili, kiedy wróci z nową dostawą złomu.

Jupiter zajął się zamkiem, zły na siebie za to, że nie przyszło mu do głowy, iż kufer przez cały czas znajdował się na złomowisku. Nie powinien w przyszłości wyciągać wniosków tak pochopnie jak zeszłej nocy. A już rano najpóźniej należało zdać sobie sprawę z sytuacji. Całkowicie dał się zwieść pozorom.

- Popelnilem błąd ubiegłej nocy. Nie przeanalizowałem faktów dość dokładnie - odezwał się. - To więcej uczy niż odniesienie sukcesu już za pierwszym razem. Wuj Tytus dał mi dobrą nauczkę.

Bob i Pete przytaknęli z uśmiechem.

- A co teraz zrobimy z Maksymilianem? - zapytał Bob. - Obiecaliśmy, że go zawiadomimy, gdyby kufer się odnalazł.

- Obiecaliśmy go zawiadomić, zanim sprzedamy kufer komuś innemu - powiedział Jupiter. - A przecież nie zamierzamy go nikomu sprzedawać, przynajmniej na razie.

- Ja jestem za sprzedaniem - odezwał się Pete. - W końcu Maksymilian zaoferował zupełnie niezłą sumkę.

Lecz myśl o posiadaniu gadającej czaszki całkiem zawładnęła wyobraźnią Jupitera.

- Nad sprzedażą możemy zastanowić się później - powiedział. - Teraz chcę się dowiedzieć, czy Sokrates rzeczywiście potrafi mówić.

- Tego się właśnie obawiałem - jęknął Pete.

Jupiter przymierzał do zamka klucz za kluczem. Wreszcie, za którymś razem stary zamek puścił. Jupiter odpiął dwa skórzane rzemienie przytrzymujące wieko i otworzył kufer.

Wszyscy zajrzeli do środka. Na wierzchu leżał długi zwój czerwonego jedwabiu. Przykrywał on najwyższą szufladę kufra, w której leżało wiele małych przedmiotów pozawijanych w różnokolorowe jedwabne szmatki. Była tam składana klatka dla ptaków,

mała kryształowa kula na podstawce, jakieś czerwone kuleczki, kilka talii kart i metalowe kubki powkładane ciasno jeden w drugi. I ani śladu czaszki czy też zawiniątka o podobnym kształcie.

- To jeden z magicznych trików Guliwera - stwierdził Jupiter. - Jeśli ten kufer zawiera coś cennego, to pewnie znajdziemy to na samym dnie.

Razem z Pete'em podnieśli wierzchnią szufladę i odłożyli ją na bok. Wyglądało na to, że reszta kufra wypełniona jest ubraniami. Nie były to jednak zwykłe ubrania. Przejrzeli je sztuka po sztuce i okazało się, że jest tam kilka jedwabnych marynarek, długa, złota szata, turban i inne wschodnie ubiory.

Bob pierwszy dostrzegł obiekt ich poszukiwań.

- Patrzcie! Jest! - krzyknął. - Tam z boku, pod purpurowym materiałem. Coś okrągłego. Założę się, że to czaszka.

- Chyba masz rację, rekordzisto - przyznał Jupiter i podniósł okrągły przedmiot.

Bob rozwinął purpurowy materiał. W rękach Jupitera ukazała się czaszka, biała i błyszcząca. Wydawało się, że patrzy na niego swoimi pustymi oczodołami. Nie budziła w nich strachu. W pewnym sensie sprawiała nawet przyjazne wrażenie. Przypominała chłopcom szkielet, stojący w gabinecie biologicznym w szkole, który wszyscy nazywali panem Kościstym. Już dawno oswoili się z widokiem pana Kościstego i teraz przyglądali się czaszce ze spokojem.

- To chyba rzeczywiście Sokrates - stwierdził Bob.

- Spójrzcie, tam pod spodem coś jest - zauważył Jupiter. Oddał Sokratesa Bobowi i pochylił się nad kufrem. Wyjął z niego krążek gruby na dwa cale o średnicy około sześciu cali, zrobiony z kości słoniowej. Na jego brzegu wycięte były jakieś znaki.

- To mi wygląda na podstawkę do Sokratesa - mruknął Jupiter. - Ma nawet wgłębienia idealnie do niego dopasowane.

Umieścił krążek z kości słoniowej na stoliku, a Bob położył na nim czaszkę. Sokrates spoczął na podstawce i jakby się uśmiechnął do wpatrzonych w niego chłopców.

- Rzeczywiście wygląda tak, jakby zaraz miał przemówić - stwierdził Pete. - Ale jeśli to robi, ja poszukam sobie innej pracy.

- Prawdopodobnie tylko Guliwer umiał sprawić, by przemówił - powiedział Jupiter. - Wydaje mi się, że w jego wnętrzu jest jakiś mechanizm.

Uniósł czaszkę i zajrzał do niej od spodu.

- Nic nie ma. Gdyby wmontowano coś w środku, na pewno zostałyby jakieś ślady. A tu nic, kompletnie nic. Bardzo dziwne.

Odłożył Sokratesa z powrotem na podstawkę.

- Sokratesie, jeśli rzeczywiście potrafisz mówić, odezwij się - rozkazał.

Odpowiedzią była cisza.

- Hmm, chyba nie jest w nastroju do rozmów - stwierdził Jupiter. - Sprawdźmy, co jeszcze jest w kufrze.

Nagle rozległ się za nimi dziwny dźwięk, jakby stłumione kichnięcie.

Odwrócili się raptownie. Za nimi nie było nikogo. To znaczy, oprócz czaszki.

Sokrates kichnął!

Rozdział 5

Dziwna rozmowa w ciemnościach

Chłopcy spojrzeli po sobie szeroko otwartymi oczami.

- On kichnął! - odezwał się Pete. - To prawie tak, jakby przemówił. Jeśli czaszka potrafi kichać, to prawdopodobnie umie też wyrecytować Orędzie Gettysburskie!* [przyp.: Sławne przesłanie prezydenta Abrahama Lincolna, ogłoszone 19 listopada 1863 roku, dedykowane wszystkim Amerykanom, zarówno tym z Północy, jak i z Południa, którzy polegli w bitwie pod Gettysburgiem, bitwie rozstrzygającej losy wojny secesyjnej.]

- Hmm - zachmurzył się Jupiter. - Jesteś pewien, Bob, że to nie ty kichnąłeś?

- To żaden z nas - powiedział Bob. - Wyraźnie słyszałem kichnięcie za nami.

- Dziwne - mruknął Jupiter. - Mógłbym jeszcze zrozumieć, gdyby czaszka wydawała dźwięki za sprawą jakiejś sztuczki Guliwera. Ale przecież Guliwera tu nie ma. Być może nie ma go nawet między żywymi. Nie pojmuję, jakim cudem czaszka mogła sama kichnąć...

Wziął czaszkę w dłoń i obejrzał ją dokładnie ze wszystkich stron. Lecz absolutnie nic nie wskazywało na to, żeby znajdowało się w niej jakieś urządzenie.

- Żadnych drucików ani innych śladów - powiedział Jupiter. - Bardzo to tajemnicze.

- Wiele bym dał, żeby to jeszcze raz usłyszeć! - wykrzyknął Pete.

- Ale dlaczego czaszka miałaby kichać? - zapytał Bob. - Przecież nie ma ku temu żadnego powodu.

- Nie wiem dlaczego - powiedział Jupiter. - Ale to dla nas bardzo ciekawe zadanie. Założę się, że właśnie tego typu zagadkę dałby nam do rozwiązania pan Alfred Hitchcock.

Jupiter mówił o znanym reżyserze i autorze powieści sensacyjnych, który naprowadził chłopców na kilka doprawdy zadziwiających spraw i który żywo interesował się ich poczynaniami.

- Ładna historia! - krzyknął Pete. - Wczorajszej nocy dwóch facetów próbowało ukraść ten kufer. Dziś otwieramy go i znajdujemy w nim kichającą czaszkę. Następną rzeczą będzie...

Przerwało mu głośnie wołanie ciotki Matyldy.

- Jupiter! Chłopcy! Wiem, że tam jesteście! Chodźcie tu do mnie! Praca na was czeka.

- Uhh - jęknął Bob. - Twoja ciotka nas woła.

- I to swoim nie znoszącym sprzeciwu tonem - wtrącił Pete, kiedy rozległo się ponowne nawoływanie ciotki Matyldy. - Lepiej tam chodźmy.

- Tak, masz rację - powiedział szybko Jupiter. Włożył Sokratesa z powrotem do kufra, który zamknął na klucz. Wszyscy trzej pobiegli truchtem tam, skąd dochodził głos. Pani Jones czekała na nich wsparta pod boki.

- A, jesteś! - powitała Jupitera. - Najwyższa pora. Twój wuj Tytus, Hans i Konrad wyładowali już cały transport z ciężarówki i chciałabym, chłopcy, żebyście teraz posortowali wszystko i poroznosili na właściwe miejsca.

Chłopcy popatrzyli na stos używanych rzeczy, piętrzący się przed biurem, i ciężko westchnęli. Staranne ułożenie tego wszystkiego zajmie im sporo czasu. A pani Jones bardzo pilnowała porządku. Jonesowie zbierali, co prawda, złom, lecz był to skład niezwykle i starannie utrzymany. Pani Jones nie tolerowała bałaganu.

Chłopcy wzięli się do pracy i przerwali ją dopiero, kiedy pani Jones przyniosła im obiad. Mieli właśnie kończyć, ale Tytus Jones przywiózł ciężarówką kolejną dostawę mebli i innych sprzętów, które kupił przy rozbiórce jakiegoś bloku mieszkalnego.

Byli więc zajęci przez całe popołudnie. Jupiter nie mógł się już doczekać powrotu do kufra i jego dziwnej zawartości. W końcu Bob i Pete zaczęli zbierać się do domu. Pete umówił się z Jupiterem, że spotkają się rano na zapleczu składu. Bob miał dołączyć do nich później, ponieważ rano dorabiał sobie, pomagając w miejscowej bibliotece.

Jupiter zjadł obfitą kolację, po której ogarnęła go taka senność, że nie był już w stanie rozmyślać nad tajemnicą kufra należącego do magika, który zniknął, i nad należącą do niego czaszką, która podobno mówiła. Przyszło mu jednak do głowy, że skoro złodzieje próbowali raz, mogą spróbować i drugi. Poszedł więc do składu, wy dostał z kufra Sokratesa i ustawił go na podpórce z kości słoniowej. Wszystkie inne przedmioty włożył z powrotem do kufra, który zamknął na kluczyk. Następnie schował kufer za starą kopiarke i przykrył jakimś płótnem. Pomyślał, że teraz kufer powinien być bezpieczny. Z Sokratesem jednak wolał nie ryzykować. Zabrał czaszkę do domu.

Trzymając ją w dłoniach, wkroczył do jadalni. Na ten widok ciotka Matylda krzyknęła:

- Na wszystkie świętości, Jupiterze! A cóż ty za ohydztwo przyniosłeś?

- To tylko Sokrates - odpowiedział Jupiter. - Podobno potrafi mówić.

- Potrafi mówić, hee? - Tytus Jones podniósł głowę znad swojej gazety i zachichotał. - A cóż on takiego mówi, chłopcze? Wygląda całkiem inteligentnie.

- Jak dotąd, nic jeszcze nie powiedział - przyznał Jupiter. - Ale mam nadzieję, że to zrobi. Choć tak naprawdę nie oczekuję tego od niego.

- Do mnie niech się lepiej nie odzywa, bo popamięta! - powiedziała ciotka Matylda. -

Też mi pomysł! Zabierz to z moich oczu, Jupiterze. Nie chcę na to patrzeć.

Jupiter zaniósł Sokratesa do swojego pokoju, ułożył na podstawce i postawił na biurku. Potem zszedł na dół pooglądać telewizję.

Kładąc się do łóżka był już pewien, że Sokrates nie potrafi mówić. Cała tajemnica polegała na tym, że Guliwer Wielki, jego właściciel, był bardzo zdolnym brzuchomówcą.

Już prawie zasypiał, gdy nagle rozległ się cichy gwizd. Gwizd powtórzył się i Jupiter miał wrażenie, jakby w pokoju ktoś jeszcze był.

Nagle całkiem oprzytomniał i siadł na łóżku.

- Kto to? To ty, wuju? - zapytał i przez chwilę pomyślał, że to tylko kolejny żart Tytusa Jonesa.

- To ja - dobiegł z ciemności od strony biurka łagodny, raczej wysoki głos - Sokrates.

- Sokrates? - wykrztusił Jupiter.

- Nadszedł czas... żebym przemówił. Nie zapalaj... światła. Słuchaj... i nie lękaj się. Czy... zrozumiałeś?

Wydawało się, że mówienie sprawiało mu trudność. Jupiter wyteżał wzrok w kierunku, skąd dochodził głos, lecz niczego nie mógł dojrzeć.

- T-a-a-k - odpowiedział zdławionym głosem.

- To dobrze - rzekł głos. - Musisz pójść... jutro... na King Street pod numer 311. Hasło... Sokrates. Czy... zrozumiałeś?

- Tak - odparł Jupiter śmiejąc. - Ale o co chodzi? Kto do mnie mówi?

- To ja ... Sokrates.

Szept jakby rozplynał się w oddali. Jupiter wychylił się z łóżka i zapalił nocną lampkę. Popatrzył na Sokratesa. Czaszka zdawała się uśmiechać, tak jak poprzednio, lecz nie dochodził z niej żaden głos.

To niemożliwe, żeby Sokrates mówił do niego! Ale... głos dochodził z pokoju, a nie zza okna.

Na myśl o oknie Jupiter wyjrzał na zewnątrz. Na podwórzu nie było żywej duszy. Niezwykle poruszony wrócił do łóżka.

Zgodnie z poleceniem miał się jutro udać na King Street 311. Może nie powinien... ale wiedział, że tam pójdzie. Sprawa stawała się coraz bardziej tajemnicza.

A tajemnicom Jupiter nie potrafił się oprzeć.

Rozdział 6

Tajemnicza wiadomość

- Na pewno nie chcesz, żebym z tobą poszedł, Juve? - zapytał Pete.

Pete i Jupiter z przedniego siedzenia pikapa, którym Hans podwiózł ich do Los Angeles, przyglądali się obskurnemu budynkowi na King Street 311. Nad gankiem wisiał wyblakły napis "POKOJE DO WYNAJĘCIA", a pod nim mniejszy "Pokoiki brak".

W sąsiedztwie stały podobne nędzne domy, parę sklepików. Wszystkie wymagały gruntownego remontu. Po ulicy kręcili się starzy ludzie. Wyglądało na to, że mieszkają tu jedynie klepiący biedę staruszkowie.

- Na pewno nie chcę, Drugi Detektywie - odpowiedział Jupiter. - Poczekaj na mnie w samochodzie razem z Hansem. Myślę, że nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo.

Pete głośno przełknął ślinę.

- Twierdzisz, że to czaszka kazała ci tu przyjść? - zapytał. - Tak po prostu? Stała sobie na biurku i gadała z tobą w ciemnościach?

- Tak właśnie było lub też miałem bardzo niezwykły sen - odparł Jupiter. - Tylko że ja nie spałem, więc nie mogłem śnić. Wejść do środka sprawdzić, o co tu chodzi. Jeśli nie będzie mnie dłużej niż dwadzieścia minut, wtedy obaj z Hansem wejdziecie za mną.

- No cóż, skoro tak chcesz - zgodził się Pete. - Ale to wszystko mi się nie podoba.

- Jeśli znajdę się w niebezpieczeństwie - powiedział Jupiter - to będę wzywał pomocy z całych sił.

- Uważaj na siebie, Jupiterze - prosił Hans z troską na wielkiej, okrągłej twarzy. - A jeśli będziesz potrzebował pomocy, to przybiegniemy co sił!

Hans zademonstrował swoje potężne ramię, żeby pokazać, iż w razie potrzeby bez trudu wyłamał drzwi, spiesząc na ratunek Juve'owi. Pierwszy Detektyw skinął głową.

- Liczę na was obu - oświadczył, wysiadając z samochodu.

Jupiter podszedł wąskim chodnikiem do małego ganku, wszedł po schodach i nacisnął dzwonek. Zdawało mu się, że upłynęło wiele czasu, zanim wreszcie w środku rozległy się czyjeś kroki.

Drzwi otworzyły się i Jupiter stanął oko w oko z krępy, wąsatym mężczyzną o śniadej cerze.

- Tak? - odezwał się mężczyzna. - O co chodzi, chłopcze? Wolnych pokoi nie mamy. Wszystkie zajęte.

Mówił z lekko cudzoziemskim akcentem, lecz Jupiter nie umiałby powiedzieć, skąd pochodzi ten człowiek. Chłopiec przybrał swoją głupawą minę, którą zawsze robił, kiedy chciał, żeby dorośli brali go za pulchnego oferwę.

- Szukam pana Sokratesa - podał hasło.

- Ha!

Mężczyzna przyglądał mu się przez chwilę, a potem wycofał się do środka.

- Wejdz. Może on być, a może on nie być tutaj. Lonzo zapyta.

Jupiter wszedł do ciemnego wnętrza i zamrugał oczami. Znalazł się w małym, zakurczonym korytarzu, gdzie paliło się jakieś przyćmione światło. Na jego końcu zobaczył duży pokój, w którym siedziało kilku mężczyzn. Czytali gazety lub grali w warcaby. Wszyscy byli krępi, mieli bardzo ciemne włosy i muskularne sylwetki. Przyglądali się Jupiterowi obojętnie.

Jupiter czekał. Wreszcie mężczyzna z wąsami wrócił z pokoju na końcu korytarza.

- Zeldą cię przyjmie - powiedział.

Poprowadził Jupitera korytarzem i zamknął za nim drzwi pokoju. Jupe zmrużył oczy. Pokój był jasny i słoneczny. Po ciemnościach korytarza musiał chwilę oswajać się ze światłem, zanim dostrzegł starszą kobietę siedzącą na dużym fotelu na biegunach. Dziergała na drutach jakąś robótkę, przyglądając się Jupiterowi badawczo przez staromodne okulary.

Ubrana była w jaskrawą, czerwono-żółtą suknię, a w uszach miała wielkie, złote koła. Nagle Jupiter zorientował się, że obserwująca go kobieta jest Cyganką. Jej pierwsze słowa utwierdziły go w tym.

- Jestem Zeldą, Cyganka - odezwała się cichym, ochryłym głosem. - Czego sobie życzy młody człowiek? Powróżenia?

- Nie, proszę pani - odparł grzecznie Jupiter. - Pan Sokrates kazał mi tu przyjść.

- Ach, tak, pan Sokrates - powiedziała stara kobieta. - Ale pan Sokrates nie żyje.

Jupiter przypomniał sobie czaszkę i musiał przyznać, że pan Sokrates faktycznie rozstał się z tym światem.

- A mimo to rozmawiał z tobą - wyszeptała Zeldą. - Dziwne, bardzo dziwne.- Usiądź, młody człowieku. Tu, przy tym stole. A ja spojrzę w kryształową kulę.

Jupiter usiadł przy małym stoliku, zrobionym z jakiegoś szlachetnego drewna i kości słoniowej ułożonej w dziwne wzory. Zeldą wstała i siadła naprzeciwko. Spod stolika wyjęła małe pudełko, a z niego kryształową kulę. Położyła ją na środku stolika.

- Cisza! - syknęła. - Nic nie mów. Nie przeszkadzaj kuli.

Jupiter skinął głową. Stara Cyganka oparła ręce o stół i lekko pochylona zaczęła

wpatrywać się w błyszczącą kryształową kulę. Zastygła w tej pozycji i zdawało się, że nawet przestała oddychać. Trwało to dość długo. W końcu przemówiła.

- Widzę kufer - zamruczała. - Widzę ludzi... wielu ludzi, którzy chcą zdobyć ten kufer. Widzę mężczyznę. Przestraszonego mężczyznę. Jego nazwisko zaczyna się na "B"... nie, na "G". Boi się i potrzebuje pomocy. Prosi ciebie o pomoc. Kula się rozjaśnia! Widzę pieniądze... dużo pieniędzy. Wielu ludzi chce je zdobyć. Ale one są ukryte. Zakrywa je jakaś chmura, znikają. Nikt nie wie, gdzie. Kula mętnieje. Człowiek na "G" znika. Znika ze świata ludzi. Umiera, ale żyje. Już nic więcej nie widzę.

Stara Cyganka oderwała wzrok od kuli i wyprostowała się z westchnieniem.

- Czytanie z kryształowej kuli jest bardzo męczące - powiedziała. - Na dziś już wystarczy. Czy to, co widziałam, miało dla ciebie jakiś sens, młody człowieku?

Jupiter zmarszczył czoło w zadumie.

- Część miała - odparł. - To o kufrze. Mam taki kufer, na którym wielu osobom zdaje się zależeć. A "G" może oznaczać Guliwer, to znaczy Guliwer Wielki, magik.

- Guliwer Wielki - zamruczała Cyganka. - Całkiem możliwe. Był przyjacielem Cyganów. Tylko że on zniknął.

- Powiedziała pani, że zniknął ze świata żywych - przypomniał Jupiter - że umarł, ale żyje. Tego już całkiem nie pojmuję. Co to miało oznaczać?

- Nie umiem tego wyjaśnić - Cyganka potrząsnęła głową. - Ale kryształowa kula nie kłamie. My, Cyganie, chcielibyśmy odnaleźć Guliwera i sprowadzić go z powrotem, ponieważ był naszym przyjacielem. Może będziesz mógł nam pomóc. Jesteś bystry i jak na swój wiek oko masz przenikliwe. Widzisz czasem rzeczy, których inni ludzie nie widzą.

- Nie wiem, jak mógłbym pomóc - odrzekł Jupiter. - Nic nie wiem o Guliwerze, a o pieniądzech nawet nie słyszałem. Kupiłem jedynie na aukcji kufer należący kiedyś do Guliwera. W środku była gadająca czaszka, Sokrates. Sokrates kazał mi tu przyjść. I to wszystko.

- Każda podróż zaczyna się od tego pierwszego kroku - powiedziała Cyganka. - Teraz idź już i czekaj. Może dowiesz się czegoś więcej. I dobrze pilnuj kufra. Jeśli Sokrates przemówi, słuchaj go uważnie. Do widzenia!

Jupiter wstał z krzesła. Opuszczał pokój, zaintrygowany bardziej niż kiedykolwiek. Lonzo, Cygan z wąsami, odprowadził go do wyjścia.

Pete i Hans czekali w samochodzie. Pete spoglądał na zegarek.

- O rany, Juve, mieliśmy już tam wchodzić - zawołał, kiedy Jupiter wszedł do kabiny. - Dobrze cię widzieć całym i zdrowym. Co się stało?

- Nie jestem pewien - odparł Jupiter, a Hans włączył motor i odjechali. - To znaczy, wiem, co się stało, ale nie wiem, jak to rozumieć.

I opowiedział Pete'owi przebieg ostatnich kilkunastu minut. Po usłyszeniu tej historii, Pete zagwizdał.

- To rzeczywiście dziwne - zgodził się. - Guliwer i ukryte pieniądze. Guliwer umarł, ale żyje. Nic z tego nie rozumiem.

- Ja też nie - stwierdził Jupiter. - Bardzo to zagmatwane.

- Słuchajcie! - wykrzyknął Pete. - A może w kufrze Guliwera schowane są pieniądze? Nie przeszukaliśmy go do końca po znalezieniu Sokratesa. Gdyby tam były, to by wyjaśniało, czemu tyle osób próbuje zdobyć kufer.

- Też mi to przyszło do głowy - przyznał Jupiter. - Może ci ludzie wcale nie szukają Sokratesa. Po powrocie przetrząśniemy kufer jeszcze raz... Co się stało, Hans? Dlaczego tak przyspieszasz?

- Ktoś nas śledzi - mruknął Hans, jeszcze bardziej zwiększając prędkość, tak że aż zaczęli się o siebie obijać i podskakiwać. - Czarny samochód z dwoma mężczyznami jedzie za nami już od jakiegoś czasu.

Pete i Jupiter wyjrzeni przez tylną szybę. Rzeczywiście zobaczyli czarny samochód, który właśnie próbował ich wyprzedzić. Droga była pusta i Hans zjechał na środek, by uniemożliwić mu ten manewr.

Ścigali się tak jakieś pół mili, aż dojrżeli przed sobą autostradę. W Los Angeles jest wiele autostrad, które rozładowują natężony ruch samochodowy. Niektóre z nich przeprowadzono nad zwykłymi ulicami, teraz trafili na taką właśnie autostradę.

- Wjadę tutaj! - mruknął Hans. - Tu nie będą próbowali nas zatrzymać. Za duży ruch.

I zwalniając tylko odrobinę, skręcił na drogę wjazdową na autostradę. Samochód przechylił się na ostrym zakręcie i po chwili znalazł się na szerokiej wielopasmówce, po której w obu kierunkach pędziły sznury samochodów.

Czarny samochód zrezygnował z pościgu. Kierowca pewnie zdał sobie sprawę, że nie mógłby ich zatrzymać - o ile taki miał plan - na ruchliwej drodze, gdzie stawanie było zabronione. Czarny wóz przejechał pod autostradą i zniknął im z oczu.

- Zgubiliśmy ich - powiedział Hans. - Chciałbym ich dostać w swoje ręce i potrząsnąć za fraki. - Dokąd teraz, Jupe?

- Do domu, Hans - odparł Jupiter. - Co znowu, Pete? Co ci się znów nie podoba?

- To wszystko mi się nie podoba. Czaszka, która gada z tobą po nocach. Ludzie, którzy próbują ukraść kufer, a potem śledzą nas samochodem. Denerwuje mnie to. Uważam,

że należy zapomnieć o całej tej sprawie,

- A ja myślę, że nie zapomnimy o niej - powiedział Jupiter zamyślony. - Wygląda na to, że trafiliśmy na tajemnicę i zajmiemy się nią, czy chcemy tego, czy nie.

Rozdział 7

Rozstanie z Sokratesem

Kiedy wrócili do składu, Jupiter musiał wykonać kilka zleceń ciotki Matyldy. Pete włączył się do pomocy i pracowali aż do obiadu. Wtedy też przyjechał Bob, który skończył swój poranny dyżur w miejscowej bibliotece. Wszyscy trzej poszli na zaplecze, gdzie pod starą, płócienną płachtą stał ich kufer.

Jupiter opowiedział Bobowi o porannych wydarzeniach i dodał:

- Pewna Cyganka, Zelda, twierdzi, że zniknęły duże pieniądze i że ich zniknięcie wiąże się w jakiś sposób ze zniknięciem Guliwera Wielkiego.

- Może, na przykład, zabrał forszę i ulotnił się do Europy - zasugerował Bob.

- Nie - Jupiter potrząsnął głową. - Zelda powiedziała, że on potrzebuje pomocy i że nie ma go już w świecie żywych. Podobno umarł, ale żyje, a ona razem z innymi Cyganami będzie próbowała mu pomóc wrócić do nas. Brzmi to wszystko bardzo tajemniczo, ale ja sądzę, iż Guliwer nie zniknął z pieniędzmi, lecz z powodu pieniędzy.

- Może schował pieniądze w kufrze - rzucił Pete - żeby nie wpadły w niepowołane ręce? Pamiętajcie, co mówił Fred Brown? Tuż przed zniknięciem Guliwera rozpytywały o niego jakieś ciemne typy. Może to przed nimi się schował.

- Ale czemu miałby chować pieniądze w kufrze? - zapytał Jupiter. - Choć z drugiej strony, może faktycznie to zrobił. W każdym razie musimy dokładnie przeszukać kufer.

Lecz pół godziny później, kiedy kufer został całkowicie opróżniony i każda rzecz dokładnie przejrzana, okazało się, że nie tylko nie ma w nim pieniędzy, ale też nic wartościowego.

- No i po krzyku - powiedział Pete. - Nie ma nic.

- Banknoty chowa się czasem pod podszewką na dnie. Spójrzcie, tam w rogu materiał jest rozerwany.

- I myślisz, że tam je schowano? - spytał Bob. - To tylko mała dziurka. - Pochylił się i włożył palec w rozerwane miejsce.

- Mam, mam coś! - krzyknął podniecony. - Papier! Może to pieniądze!

Ostrożnie wyciągnął kawałek papieru.

- To nie pieniądze - stwierdził. - Jedyne jakiś stary list.

- Hmm - mruknął Jupiter. - Chciałbym go zobaczyć. Jest zaadresowany do Guliwera na jego hotelowy adres. Na stemplu pocztowym jest data sprzed roku. Guliwer musiał go

odebrać tuż przed swoim zniknięciem. Wyciął mały otwór w materiale, którym wybity jest kufer, i schował tam list. Widać miał on dla niego duże znaczenie.

- Może doprowadzi nas do pieniędzy, o których mówiła Zelda - powiedział Bob. -
Może zawiera mapkę lub inne wskazówki.

Razem z Pete'em przysunęli się do Jupitera, który wyjął z koperty pojedynczą kartkę z krótkim tekstem:

Szpital Więzienia Stanowego, 17 lipca

Drogi Guliwerze,

Tylko kilka słów od twojego starego kumpla i towarzysza z celi więziennej, Spike'a Neely'ego. Jestem w szpitalu i wygląda na to, że moje dni są policzone.

Mam ich przed sobą może pięć, może trzy tygodnie, a może nawet dwa miesiące. Lekarze nie są pewni. W każdym razie nadeszła pora pożegnania.

Jeśli będziesz kiedyś w Chicago, zajrzyj do mojego kuzyna Danny'ego Streeta. Pozdrów go ode mnie. Chciałbym ci jeszcze wiele powiedzieć, ale nie mogę.

Twój przyjaciel

Spike

- To tylko list - powiedział Pete. - Od kogoś, kogo Guliwer znał, kiedy siedział w więzieniu za wróżbiarstwo. Nie ma żadnego znaczenia.

- Może nie ma, a może ma - nie zgodził się z nim Jupiter.

- Jeśli nic nie znaczy, to dlaczego Guliwer schował go w takim miejscu? - spytał Bob.

- No, właśnie. Trafiłeś w sedno - przytaknął Jupiter. - Dlaczego go schował? Wynika z tego, że jednak miał znaczenie.

Pete podrapał się w głowę.

- Jedno jest pewne. Nie ma w nim słowa o pieniądzach.

- Ten Spike Neely napisał list w szpitalu więziennym - odezwał się Bob. - Zdaje się, że listy od więźniów są zawsze czytane przez władze więzienne, zanim zostaną wysłane. Spike nie mógł więc wspomnieć o pieniądzach.

- Chyba że zrobił to w jakiś inny sposób - powiedział Jupiter.

- Masz na myśli atrament sympatyczny czy coś w tym rodzaju? - zapytał Pete.

- To jedna możliwość. Proponuję zabrać ten list do Kwatery Głównej i tam go zbadać.

Jupiter podszedł do żelaznej kraty opartej o drukarkę, którą jakiś czas temu naprawili. Po przesunięciu kraty ukazywało się wejście do Tunelu Drugiego, prowadzącego do Kwatery

Głównej. Tunel Drugi tworzyła wielka żelazna rura o średnicy około dwóch stóp, karbowana tak jak rury używane do kanałów ściekowych. Biegła częściowo pod ziemią, pod stosem bezużytecznych rupieci, by wyjść na powierzchnię akurat pod Kwaterą Główną, czyli przyczepą kempingową ukrytą wśród złomu.

Jupiter ruszył pierwszy, a za nim na czworakach Bob i Pete. Chłopcy wyłożyli kiedyś Tunel Drugi starymi dywanikami, żeby nie pokaleczyć sobie kolan o karbowane dno. Podważyli teraz klapę na końcu rury i wdrapali się do swego malutkiego biura.

Mieli w starej przyczepie małe laboratorium wyposażone w mikroskop i inne niezbędne przyrządy.

Najpierw Jupiter włożył list pod mikroskop i obejrzał go cał po calu.

- Nic - mruknął. - A teraz zrobię test na najczęściej spotykany rodzaj atramentu sympatycznego.

Sięgnął po słoik z kwasem i wlał trochę do zlewki. Trzymał list nad zlewką w oparach kwasu i poruszał nim. Nic się nie działo.

- Spodziewałem się tego - powiedział. - Zresztą, zwykła logika podpowiada, że w szpitalu więziennym raczej trudno zdobyć atrament sympatyczny. Co najwyżej mógł mieć cytrynę, a sok z cytryny jest jednym z najprostszych rodzajów atramentu sympatycznego. Pisane nim litery są niewidoczne, ale jeśli podgrzejemy trochę papier, pojawią się. Sprawdźmy to.

Zapalił mały palnik. Trzymając list za rogi, przesuwiał go nad płomieniem.

- I znów nic - odezwał się po chwili. - Zbadajmy teraz kopertę.

Jednak wszystkie testy z kopertą też wypadły negatywnie. Jupiter był rozczarowany.

- To chyba rzeczywiście tylko zwykły list. A jednak Guliwer go ukrył. Czemu to zrobił?

- Może myślał, że zawiera jakieś wskazówki, a ponieważ nie umiał ich odczytać, schował list, żeby to zrobić później - zastanawiał się Bob. - Słuchajcie, a może kiedy odsiadywał karę, ten cały Spike Neely wspomniał mu coś o pieniądzach, ale nie powiedział, gdzie zostały ukryte. Załóżmy, że powiedział, iż jeśli coś mu się przytrafi, to dopuści Guliwera, swojego jedynego przyjaciela, do sekretu. Guliwer dostaje list ze szpitala więziennego. Spike jest umierający. Guliwer sądzi, że Spike chciał mu dać wskazówkę, jak znaleźć pieniądze. Ponieważ nie znajduje jej w liście, chowa go, żeby później przestudiować go dokładniej.

Ciemne typy, które znały Spike'a z więzienia, dowiadują się w jakiś sposób, że napisał do Guliwera. Podejrzewają, iż wyjawiał mu cały sekret. Przyjeżdżają więc, by wydobyć z

Guliwera tajemnicę. Guliwer boi się. Nie idzie na policję, ponieważ nie może powiedzieć nic konkretnego. Obawia się, iż bandyci myślą, że zna miejsce, w którym ukryto pieniądze, i żeby zmusić go do mówienia, mogą się nawet posunąć do tortur. A więc - znika. Co o tym sądzicie?

- Bardzo logiczne rozumowanie, Bob - pochwalił przyjaciela Jupiter. - Sądzę, że coś takiego mogło się zdarzyć. Zauważ jednak, że obejrzelśmy ten list bardzo dokładnie i nie ma w nim żadnych ukrytych informacji. Domyślam się więc, iż Spike Neely nie przesłał w liście tej wiadomości. Nie zrobił tego, ponieważ wiedział, iż list może najpierw trafić w ręce policji.

- A jednak ktoś uważa, że w kufrze są jakieś wskazówki - zauważył Pete. - Dlatego właśnie szukają kufra. Jeśli nie chcemy mieć na głowie jakichś ciemnych zbirów, którzy pewnie nie zrezygnują z kufra tak łatwo, to lepiej pozbadźmy się go natychmiast.

- Jest coś w tym, co powiedział Pete - odezwał się Bob. - Nie możemy rozwiązać tej zagadki, bo nie mamy żadnych wskazówek. A jeśli chcemy uniknąć kłopotów, powinniśmy pozbyć się kufra. W końcu nie ma on przecież dla nas większego znaczenia.

- Chciał go od nas kupić Maksymilian Mistyczny - przypomniał Pete. - Lepiej włóżmy Sokratesa z powrotem do kufra i przekażmy całą tę mieszankę wybuchową panu Maksymilianowi. Pozbadźmy się tego. Trzymanie kufra tutaj jest zbyt niebezpieczne. Co ty na to, Jupe?

- Mmm - mruknął Jupiter, przygryzając wargę. - Zeldzie zdawało się, że możemy jakoś pomóc, ale rzeczywiście nie wygląda mi na to. Jak już zauważyliście, nie mamy żadnego tropu. Jakies dwa zbiry ściagały nas dziś rano od domu Zeldy i też mi się to bardzo nie podobało. No, dobrze, zadzwonimy do pana Maksymiliana, skoro tak bardzo zależy mu na tym kufrze. Spakujemy wszystko tak, jak było. Sokratesa też. Ale musimy go uprzedzić o tych innych ludziach szukających kufra. I nie wezmę od niego stu dolarów. Zapłaci dolara, tyle ile ja dałem za niego.

- Miło by było dostać sto dolarów - westchnął Pete.

- To nie byłoby w porządku. Przecież posiadanie kufra grozi niebezpieczeństwem - odrzekł Jupiter. - Zaraz do niego zadzwonię. Najpierw jednak sfotografuję ten list na wypadek, gdybym wpadł na jakiś nowy pomysł.

Jupiter zrobił kilka zdjęć listu i koperty. Następnie zatelefonował do Maksymiliana Mistycznego, który powiedział, że natychmiast przyjeżdża. Potem wszyscy wrócili do kufra. Włożyli list na dawne miejsce i starannie wszystko poukładali. Wreszcie Jupiter poszedł do domu po Sokratesa.

Kiedy wszedł do pokoju, zastał w nim ciotkę Matyldę, która z przerażeniem

wpatrywała się w czaszkę leżącą na jego biurku.

- Jupiterze Jones! - powiedziała. - Ta... ta rzecz...

Ciotka bez słowa wskazała na czaszkę.

- Tak, ciociu?

- Ta straszna rzecz! - wybuchnęła ciotka. - Czy wiesz, co ona zrobiła? Powiedziała do mnie "buuu!"

- Sokrates powiedział do ciebie "buuu"?

- Jak mnie tu widzisz! Weszłam, żeby uprzątnąć twój pokój, i powiedziałam do niej "Ty brzydactwo! Nie wiem, skąd cię Jupiter wytrzasnął, ale jedno mogę ci zaręczyć: nie zostaniesz w moim domu! Koniec i kropka. Nie zgodzę się na to!" I wtedy... wtedy... - głos ciotki zadrżał ponownie - to coś powiedziało "buuu!" Tak po prostu: "buuu!" Słyszałam to tak wyraźnie, jak ciebie słyszę.

- Podobno jest to gadająca czaszka - oświadczył Jupiter, skrywając uśmiech. - Należała kiedyś do magika. Jeśli powiedziała "buuu!", to pewnie chciała ci zrobić kawał.

- Kawał? Ty to nazywasz kawałem? Kiedy wstrętna stara czaszka wykrzywia się i mówi "buuu"? Wszystko mi jedno, czy to gadająca czaszka, czy koń, który mówi. Ma zniknąć z mojego domu. I to natychmiast! To ostateczna decyzja!

- Oczywiście, ciociu - zgodził się Jupiter. - Pozbędę się jej. I tak miałem to zrobić.

- I lepiej niech tak się stanie.

Jupiter zamyślony zaniósł czaszkę do kolegów. Opowiedział Pete'owi i Bobowi o historii z ciotką.

- To bardzo dziwne - zakończył. - Muszę przyznać, że zupełnie nie wiem, co o tym sądzić. Dlaczego Sokrates miałby powiedzieć "buuu!" do ciotki Matyldy?

- Może ma poczucie humoru - odparł Pete. - No, pakujmy go.

- W świetle tego wydarzenia - stwierdził Jupiter - może lepiej zrobimy, zatrzymując na trochę Sokratesa i kufer. Być może jeszcze coś powie.

- O, nie! - wykrzyknął Pete, chwytając Sokratesa. Owinął go w materiał i zapakował do kufra. - Ciotka kazała ci się go pozbyć i wszyscy uchwaliliśmy to samo. Obiecaliśmy go też Maksymilianowi i musimy dotrzymać słowa. Nie mam nastroju na wsłuchiwanie się, czy nie przemówi jakaś czaszka. Nie chcę rozwiązywać tej zagadki.

Zamknął wieko i przekręcił klucz. Właśnie kiedy Jupiter szukał w myślach jakiegoś argumentu, rozległo się wołanie Hansa:

- Jupe! Hej, Jupe! Ktoś do ciebie.

- Założę się, że to Maksymilian - powiedział Bob, kiedy wszyscy ruszyli w stronę

bramy wejściowej.

Rzeczywiście czekał na nich wysoki, chudy mag. Nie zwracał żadnej uwagi na innych klientów i na stosy złomu.

- No i cóż, chłopcze - krzyknął na widok Jupitera - a jednak kufer Guliwera odnalazł się!

- Tak, proszę pana - odparł Jupiter. - I jeśli tak panu na nim zależy, to może pan go mieć.

- Oczywiście, że mi zależy! Czyż nie mówiłem tego wcześniej? Oto pieniądze, sto dolarów.

- Nie wezmę od pana stu dolarów. Zapłaciłem za niego dolara i pan też dostanie go za dolara.

- Ho, ho! A cóż ty jesteś taki hojny, chłopcze, jeśli mogę zapytać? Czyżbyś zabrał z kufra coś cennego?

- Nie, proszę pana. Kufer jest w takim stanie, w jakim go dostałem. Jednak wiąże się z nim jakaś tajemnica i ktoś bardzo chce go zdobyć. Posiadanie go może być niebezpieczne. Nie jestem pewien, czy nie powinniśmy pójść z tym na policję.

- Nonsens, chłopcze! Nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo. Na pewno sobie poradzę. Zgłosiłem się do was pierwszy i teraz żądam sprzedania mi kufra. Masz tu tego dolara.

Wyciągnął swoją długą rękę, strzelił palcami i wyjął dolara zza ucha Jupitera.

- Teraz kufer należy do mnie. Moje modlitwy odniosły efekt.

- Bob, czy możecie z Pete'em przynieść kufer? - zapytał Jupiter.

- Pewnie, że możemy! - powiedział Pete.

Przed upływem minuty przynieśli kufer. Mag kazał chłopcom położyć go na tylnym siedzeniu swojego błękitnego sedana, którego zaparkował przy bramie wjazdowej. Wszyscy byli tak zaprzątnięci tym, co robili, że nie zauważyli dwóch mężczyzn przyglądających się ukradkiem ich poczynaniom. Maksymilian siadł za kierownicą.

- Przyślę wam bilety na moje następne przedstawienie - powiedział. - A więc, do zobaczenia.

Kiedy samochód zniknął im z oczu, Pete westchnął z ulgą:

- No i po sprawie Sokratesa, Mogę się założyć, że Maksymilian będzie próbował odkryć, jak zmusić Sokratesa do mówienia, i wykorzysta go w swoich przedstawieniach. I życzę mu jak najlepiej. Cieszę się, że po raz ostatni widzieliśmy czaszkę i ten kufer.

Nie byłby taki zadowolony, gdyby wiedział, jak bardzo się mylił.

Rozdział 8

Urwany trop

Tego dnia nie wydarzyło się już nic szczególnego. Bob wyszedł wcześniej, żeby porozmawiać z ojcem. Pan Andrews pracował dla wielkiej gazety z Los Angeles. Wieczorami często nie było go w domu. Tym razem jednak nigdzie się nie wybierał.

- Wiesz, Bob - odezwał się ojciec podczas kolacji - widziałem twoje zdjęcie w jakimś hollywoodzkim piśmie. Podawali, że twój przyjaciel Jupiter kupił na aukcji stary kufer. Czy znaleźliście w nim coś ciekawego?

- Znaleźliśmy czaszkę, która podobno umie mówić - odparł Bob.

- Nazywa się Sokrates.

- Gadająca czaszka o imieniu Sokrates! - krzyknęła matka Boba.

- Dobry Boże, cóż za pomysł! Mam nadzieję, że nie rozmawiała z tobą?

- Nie, mam, nie rozmawiała ze mną - powiedział Bob. Przez chwilę chciał dodać, że czaszka przemówiła do Jupitera, ale powstrzymał się. Zwłaszcza że ojciec rzekł z uśmiechem:

- To zapewne jedna z magicznych sztuczek właściciela czaszki. Jak on się nazywał? Aleksander?

- Guliwer - poprawił go Bob. - Guliwer Wielki.

- Był pewnie dobrym brzuchomówcą - powiedział pan Andrews. - A co Jupiter zrobił z czaszką? Mam nadzieję, że jej nie zatrzymał.

- Nie, sprzedał ją - powiedział Bob - innemu magikowi, który twierdzi, że znał Guliwera. Nazywa się Maksymilian Mistyczny.

- Maksymilian Mistyczny? - ojciec Boba zmarszczył brwi. - Tuż przed moim wyjściem mieliśmy jeszcze krótki przegląd depech. Człowiek o tym nazwisku został dziś po południu ranny w wypadku samochodowym.

Maksymilian ranny w wypadku? Bob zastanawiał się, czy to nie czaszka ściągnęła na niego nieszczęście. Ojciec przerwał mu te rozmyślenia.

- Co byś powiedział, gdybyśmy sobie poześlowali w przyszłą niedzielę? - zapytał. - Mój przyjaciel zaprosił nas na swoją zagłówkę. Możemy sobie pływać cały dzień dookoła Cataliny.

- To wspaniale! - krzyknął Bob z entuzjazmem, zapominając całkiem o wypadku Maksymiliana. Nie pamiętał o nim także, kiedy następnego ranka spotkał się z Pete'em i Jupiterem w składzie złomu.

Wszyscy trzej zabrali się do rozkładania na części zepsutej pralki kupionej ostatnio przez Tytusa Jonesa. Składali je potem wraz z dobrymi częściami z innej zepsutej pralki i montowali nowy, dobry egzemplarz. Właśnie kończyli tę pracę, gdy na dziedziniec wjechał policyjny radiowóz z Rocky Beach. Zdumieni przyglądali się, jak wysiada z niego potężnie zbudowany szef policji - inspektor Reynolds i zmierza w ich stronę.

- Cześć, chłopcy - przywitał ich z poważną twarzą. - Chciałbym zadać wam kilka pytań.

- Pytań, proszę pana? - spytał Jupiter, mrugając oczami.

- Tak. Na temat kuferka, który sprzedaliście wczoraj człowiekowi, twierzącemu, że nazywa się Maksymilian Mistyczny. W drodze do domu miał wypadek. Jego samochód został niemal całkiem zniszczony, a on sam ciężko ranny. Jest teraz w szpitalu. Początkowo wzięliśmy to za zwykły wypadek drogowy. Kierowca był nieprzytomny i niczego nie mogliśmy z niego wydobyć.

Dziś rano jednak, kiedy się obudził, powiedział nam, że dwaj mężczyźni w samochodzie zepchnęli go z drogi. Powiedział nam też o kufrze. Wygląda na to, że został on ukradziony przez owych dwóch mężczyzn, ponieważ nie znaleźliśmy go we wraku samochodu przyholowanym do warsztatu.

- To oznacza, że ci dwaj specjalnie spowodowali wypadek, żeby zdobyć kufer! - wykrzyknął Jupiter.

- Też doszliśmy do tego wniosku - zgodził się inspektor Reynolds. - Maksymilian nie mógł długo rozmawiać. Lekarz mu zabronił. Zdążył tylko powiedzieć, że kupił kufer od ciebie, Jupiterze, i lekarz kazał nam wyjść. Jestem tu więc, żeby się dowiedzieć, co takiego było w tym kufrze.

- No, cóż - zaczął Jupiter, a Pete i Bob przysłuchiwali się w napięciu - były tam stare ubrania, jakieś magiczne przyrządy. Przede wszystkim jednak była w nim stara czaszka, która podobno potrafiła kiedyś mówić.

- Gadająca czaszka! - wykrzyknął inspektor Reynolds. - Co za bzdury! Czaszki nie mówią!

- To prawda, proszę pana - zgodził się z nim Jupiter. - Lecz ta należała kiedyś do innego magika, Guliwera Wielkiego i... - Dalej nastąpiła opowieść o tym, jak chłopcy kupili na aukcji kuferek, jak dowiedzieli się o istnieniu Guliwera, który trafił do więzienia, a po wyjściu z niego zaginął.

Inspektor Reynolds słuchał, marszcząc brwi i przygryzając wargę.

- To zaiste bardzo dziwna historia - powiedział, kiedy Jupiter skończył. - A co do tej

rozmowy z czaszką w twoim pokoju, to chyba cię trochę poniosła wyobraźnia. Pewnie ci się to przyśniło.

- Ja też tak pomyślałem, proszę pana. Ale kiedy poszedłem pod wskazany adres, znalazłem tam Cygankę o imieniu Zelda, która wiedziała wszystko o Guliwerze. Powiedziała też, że Guliwera nie ma już między żywymi.

Inspektor Reynolds otarł pot z czoła i ciężko westchnął.

- I opowiedziała ci historyjkę o ukrytych pieniądzech, które podobno zobaczyła w kryształowej kuli? - mruknął. - Bardzo to wszystko dziwne. Ale wracając do tego listu, znalezionego pod podszewką kufra, podobno sfotografowałeś go. Chciałbym obejrzeć te zdjęcia.

- Oczywiście, proszę pana - odparł Jupiter. - Zaraz je przyniosę. Szybko pobiegł na zaplecze składu i Tunelem Drugim prześliznął się do Kwatery Głównej. Wcześniej rano wywołał film i powiesił odbitki, żeby wyschły. Miał tylko jeden zestaw, ale w każdej chwili mógł ich dorobić więcej.

Włożył zdjęcia do koperty i zaniósł inspektorowi Reynoldsowi. Ten przejrzał je i pokręcił głową.

- Nic mi to nie mówi - mruknął. - Ale jeszcze popracuję nad nimi później. Chciałbym też porozmawiać z tą Cyganką Zeldą. Co byś powiedział, Jupiterze, na małą przejażdżkę? Zobaczmy, co nam powie ta kobieta. Mam przeczucie, że wie o wiele więcej niż mówi.

Bob i Pete mieli nadzieję, że inspektor także ich zaprosi, ale nie zrobił tego. Jupiter powiedział, żeby pracowali dalej bez niego, i wsiadł do samochodu wraz z inspektorem. Kierowca powiózł ich w stronę Los Angeles.

- To tylko nieoficjalna wizyta - zwrócił się inspektor do Jupitera, kiedy pędzili samochodem. - Pewnie i tak niczego się nie dowiemy. Cyganie niechętnie z nami rozmawiają. Mimo to spróbuję. Mógłbym poprosić o pomoc policję z Los Angeles, ale nie mam żadnych podstaw. Zelda nie przepowiadała ci przyszłości, więc nie złamała prawa.

Natomiast kiedy tylko wróć do biura, zasięgnę języka na temat tego Spike'a Neely'ego, który napisał do Guliwera. Może się dowiemy, co się kryje za tą sprawą. A coś się kryje na pewno, skoro para opryszków spycha z drogi samochód, by ukraść z niego jedynie jakiś stary kuferek. Musieli obserwować skład złomu. Zobaczyli, jak wkładacie kuferek do samochodu Maksymiliana, i pojechali za nim.

Jupiter milczał, ponieważ żaden nowy pomysł na rozwiązanie tej zagadki nie przychodził mu do głowy. Musiał przyznać, że cała historia jest bardzo zagmatwana.

Samochód jechał z dużą prędkością i wkrótce znaleźli się przed zniszczonym domem,

w którym Jupiter spotkał się z Zeldą. Inspektor Reynolds pierwszy wszedł na mały ganek i mocno nacisnął dzwonek.

Czekali. W środku panowała głucha cisza. Inspektor przybrał posępną minę. Wtem usłyszeli wołanie. Kobieta zamiatająca schody w sąsiednim domu krzyknęła:

- Jeśli szukacie Cyganów, to już ich tu nie ma.

- Nie ma?! - krzyknął inspektor. - A gdzie są?

- A kto tam trafi za Cyganami? - zachichotała kobieta. - Spakowali manatki i odjechali wcześniej rano jakimiś starymi gruchotami. Nikomu nie powiedzieli ani słowa. Po prostu się ulotnili.

- A to pech! - jęknął inspektor Reynolds. - I trop się urywa. Ptaszki wyfrunęły z klatki!

Rozdział 9

Inspektor Reynolds ostrzega

- Zaraz zaczniemy zebranie - powiedział Jupiter.

Bob Andrews i Pete Crenshaw zajęli swoje zwykłe miejsca w Kwaterze Głównej. Jupiter siedział za drewnianym biurkiem i postukiwał w nie ołówkiem.

- Trzej Detektywi przedyskutują teraz zadania na najbliższą przyszłość - powiedział. - Zapraszam wszystkich zebranych do składania propozycji.

Ponieważ Bob i Pete milczeli, Jupiter dodał:

- Mamy dzień wolny od pracy. Jak zamierzamy go wykorzystać?

Od wizyty inspektora Reynoldsa minęły dwa dni. Upłynęły spokojnie. Chłopcy spędzili wiele godzin w składzie złomu, reperując lub montując używane sprzęty. Nie pojawił się nikt nowy z kolejną tajemnicą do rozwiązania, co Bob i Pete przyjęli z ulgą. Odrobina spokoju dla odmiany dobrze im zrobi. Szczególnie cieszyli się z tego, że pozbyli się gadającej czaszki i tajemniczego kufierka.

- Zgłaszam wniosek, żeby dziś zająć się nurkowaniem - powiedział Pete. - Pogoda jest wprost wymarzona, a ostatnio wcale nie nurkowaliśmy. Całkiem wyjdziemy z wprawy.

- Popieram ten wniosek - przyklasnął mu Bob. - Dzień jest upalny i woda pewnie wspaniała.

W tym momencie zadzwonił telefon.

Chłopcy lekko się wzdrygnęli i spojrzeli na aparat. Kupili go z pieniędzy zarobionych w składzie złomu. Zarejestrowany był na nazwisko Jupitera. Jedynie nieliczni wiedzieli, że był to służbowy numer Trzech Detektywów. Telefon w ich Kwaterze dzwonił rzadko i przeważnie w ważnych sprawach.

Rozległ się ponowny dzwonek. Jupiter podniósł słuchawkę.

- Halo. Biuro Trzech Detektywów, Jupiter Jones przy telefonie.

- Witaj, Jupiterze - rozległ się głos inspektora Reynoldsa. Słyszeli go przez urządzenie nagłaśniające, zamontowane przez Jupitera. - Dzwoniłem do ciebie do domu i twoja ciotka poradziła mi, żebym spróbował znaleźć cię pod tym numerem.

- Słucham, inspektorze - odpowiedział Jupiter ożywionym głosem.

- Wspominałem ci, że zamierzam przeprowadzić małe dochodzenie. No, wiesz, w sprawie tego listu, który sfotografowałeś, oraz Spike'a Neely'ego i Guliwera Wielkiego. Dowiedziałem się kilku rzeczy. Nie bardzo to wszystko rozumiem i chciałbym z tobą

porozmawiać. Czy mógłbyś wpaść do mojego biura?

- Tak jest! - krzyknął Jupiter podekscytowany. - Czy zaraz, inspektorze?

- Czemu nie. Do południa jestem wolny.

- Będziemy za dwadzieścia minut - powiedział Jupiter i odłożył słuchawkę. - No cóż - zwrócił się do przyjaciół - w ten sposób przedpołudnie mamy już zagospodarowane. Inspektor Reynolds ma jakieś nowe informacje.

- O, nie! - jęknął Pete. - Przecież już mu powiedzieliśmy wszystko, co wiedzieliśmy. To znaczy, przynajmniej ty powiedziałaś. Jeśli chodzi o mnie, uważam sprawę kufra i czaszki za zamkniętą. Zakończoną. Finito. Koniec i kropka.

- Oczywiście, jeśli nie chcecie ze mną iść, to nie musicie. Jakoś poradzę sobie sam - oświadczył Jupiter.

Bob uśmiechnął się. Na twarzy Pete'a malowała się rozterka. Mimo swoich protestów, nie chciał być wyłączony z tak ciekawej sprawy.

- No dobra, jedziemy z tobą - powiedział Pete. - Trzej Detektywi powinni trzymać się razem. Może ta rozmowa nie potrwa długo i zdążymy jeszcze ponurkować.

- W takim razie zamykam nasze posiedzenie - zakończył Jupiter. - Jedziemy.

Zawiadomili Tytusa Jonesa o swoim wyjściu i pojechali na rowerach do Rocky Beach. Skład złomu położony był poza miastem, ale do centrum, gdzie znajdował się główny komisariat policji, było niedaleko.

Chłopcy ustawili rowery przed budynkiem i weszli do środka. Przywitał ich oficer dyżurny, siedzący za wielkim biurkiem.

- Proszę dalej - powiedział. - Szef już na was czeka.

Przeszli krótkim korytarzem do drzwi z tabliczką Główny Inspektor, zapukali i weszli do środka. Inspektor Reynolds siedział za biurkiem i zamyślony palił cygaro. Wskazał na krzesła.

- Siadajcie, chłopcy - rzekł.

Usiedli i czekali z niecierpliwością na to, co ma im do powiedzenia. Inspektor najpierw wypuścił wielki kłęb dymu z cygara i dopiero wtedy odezwał się.

- A więc, chłopcy. Dowiedziałem się kilku ciekawych rzeczy o owym Spike'u Neelym. Jak wiecie, przez jakiś czas siedział w celi razem z Guliwerem. Okazuje się, że Spike rabował banki.

- Rabował banki! - wykrzyknął Jupiter.

- No, właśnie - skinął głową inspektor. - Tak trafił do więzienia, za napad na bank w San Francisco sześć lat temu. Udało mu się uciec z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów w

banknotach o dużych nominałach. Jakiś miesiąc później został złapany w Chicago. Urzędnik bankowy, od którego zażądał pieniędzy, zwrócił uwagę na jego wadę wymowy - jąkał się, większość wyrazów poprzedzając dźwiękiem "p-p-p". To go zdradziło, kiedy był przesłuchiwany przez policjanta w Chicago.

Jednakże pieniądze nie zostały nigdy odnalezione. Ukrył je, i to dobrze. Właściwie nikt nie zdołał go skłonić nawet do przyznania się do popełnienia tej kradzieży. Niewątpliwie zamierzał odzyskać pieniądze po wyjściu z więzienia.

A teraz rozważmy całą tę sprawę punkt po punkcie. Przed sześciu laty Spike został złapany w Chicago. Stało się to jakiś miesiąc po napadzie na bank. Prawdopodobnie ukrył pieniądze w Chicago. Lecz równie dobrze mógł je ukryć tu, w okolicy Los Angeles.

Widzicie, policja odkryła, że zanim pojechał do Chicago, ukrywał się przez tydzień w domu swojej siostry w Los Angeles. Nazywa się ona Miller, Mary Miller. Przesłuchiowano ją w swoim czasie, lecz nie powiedziała niczego, co pomogłoby w śledztwie. Jest bardzo szanowaną kobietą. Przed pojawieniem się policji nawet nie przypuszczała, że jej braciszek napada na banki.

Sądząc, że przed wyjazdem do Chicago Spike ukrył pieniądze u siostry, policja dokładnie przeszukała jej dom. Niczego nie znaleziono. Ponieważ pojechał do niej natychmiast po napadzie na bank w San Francisco, musiał mieć pieniądze przy sobie. Uznano więc, że powiózł je dalej i ukrył gdzieś w Chicago.

- W liście, który napisał do Guliwera rok temu, wspomina o kuzynie nazwiskiem Danny Street z Chicago - wtrącił Jupiter. - Może u niego zostawił pieniądze?

- Władze więzienne już się tym zajęły, Jupiterze. Tak jak podejrzewałeś, list do Guliwera został uważnie przejrany, zanim go wysłano. A nawet zlecono policji w Chicago zajęcie się tym Dannym Streetem. Lecz nie znaleziono nikogo o nazwisku Street, kto miałby jakieś powiązania ze Spike'em Neelym.

Ostatecznie zdecydowano, że list nie zawiera niczego złego i został nadany. Sprawdzono, oczywiście, czy na papierze nie ma jakiejś ukrytej informacji, ale nie było.

- Ja też niczego nie znalazłem - przyznał Jupiter, przygryzając wargę, by zmusić swoje szare komórki do efektywniejszej pracy. - Jednakże dedukuję, iż jacyś bandyci dowiedzieli się o liście i sądzili, że zawiera on wskazówki, gdzie ukryto pieniądze. Dlatego też zaczęli śledzić Guliwera. Ten, przestraszony, postanowił się ukryć.

- Lub został zabity - dodał ponuro inspektor Reynolds. - Dla mnie jest całkiem jasne, że Guliwer nie znalazł tych pieniędzy. Ktoś jednak mógł próbować zmusić go do wyjawienia, gdzie są ukryte. Mógł się zdenerwować, że Guliwer - który przecież o niczym nie wiedział -

nie chce mówić... Z drugiej jednak strony, Guliwer być może zdążył uciec, ale nie zabrał ze sobą kufra.

- Musiał się domyślić, że Spike Neely próbował przekazać mu jakąś wiadomość - zastanawiał się na głos Jupiter. - Inaczej po co miałby chować ten list? Załóżmy, że Guliwer jednak ukrył się. Jego prześladowcy przeczytali w gazecie, że kupiłem kuferek. Uważali, że znajdą w nim jakąś wskazówkę o pieniądzach.

Tamtej nocy próbowali go ukraść, ale się przeliczyli, ponieważ wuj Tytus zdążył go schować. Zaczęli więc mnie śledzić. Obserwowali skład złomu i zobaczyli, jak sprzedajemy kufer Maksymilianowi Mistycznemu. Pojechali za nim, zepchnęli samochód z drogi i ukradli kufer.

- Faktycznie, bardzo im musiało zależeć na tym kufrze! - wykrzyknął Pete. - Jak to dobrze, że pozbyliśmy się go w porę.

- Myślę, że powinniście byli przywieźć ten kufer do mnie - powiedział inspektor.

- Właśnie namawialiśmy do tego pana Maksymiliana - odparł Jupiter. - Ale nie chciał o tym słyszeć. Zależało mu, żeby mieć ten kufer tylko dla siebie. Nikt nie mógł przypuszczać, że złodzieje posuną się aż do spowodowania wypadku. A poza tym, nie znaleźliśmy w kufrze żadnych informacji o pieniądzach.

- No cóż, co się stało, to się nie odstanie - stwierdził inspektor Reynolds. - Ale dzięki naszej rozmowie doszliśmy do bardzo ważnego wniosku. Chyba wszyscy się zgadzamy, że bandyci myślą, iż w kufereku znajdą wskazówki, jak odszukać ukryte pieniądze?

Chłopcy skinęli potakująco głowami.

- Tak więc - ciągnął inspektor - te typki mają teraz kufer. Przetrzęsneli go już pewnie dokładnie i nie znaleźli niczego. I jak sądzicie, do jakich wniosków doszli?

Jupiter domyślił się pierwszy i głośno przełknął ślinę. Bob widząc, że Pete nie chwyta, co inspektor chciał zasugerować, krzyknął:

- Myślą, że znaleźliśmy te wskazówki i zatrzymaliśmy je dla siebie, zanim sprzedaliśmy kufer panu Maksymilianowi! Myślą, że my... że nadal mamy wskazówki, jak odnaleźć te pieniądze!

- No nie! - sprzeciwił się Pete. - Ale to nieprawda! My o niczym nie mamy pojęcia!

- Wiem o tym - powiedział inspektor. - I wy wiecie. Lecz jeśli ci faceci myślą, że wskazówki są w waszych rękach... no cóż, mogą się znów pojawić, aby zmusić was do ich oddania.

Chłopcy też o tym pomyśleli. I nie była to miła perspektywa.

- Czy to oznacza, inspektorze, że grozi nam niebezpieczeństwo?

- Obawiam się, że tak - odrzekł inspektor z powagą. - Chciałbym, żebyście byli czujni. Jeśli zobaczycie jakąś podejrzaną osobę kręcącą się przy składzie złomu, dzwońcie do mnie natychmiast. I jeśli skontaktuje się z wami ktoś w sprawie kufra, dajcie mi znać. Zrobicie to?

- Na pewno! - obiecał Bob.

- Jest mały problem - powiedział Jupe, marszcząc brwi. - Do składu przychodzi wielu klientów. Trudno stwierdzić, czy któryś z nich wygląda podejrzanie. Jeśli jednak dostrzeżemy taką osobę, natychmiast damy panu znać.

- Liczę na to - powiedział inspektor.

Trzej Detektywi, pogrążeni w myślach, opuścili komendę policji i pojechali rowerami do składu złomu.

Rozdział 10

Jupe prowadzi śledztwo

- Coraz mniej mi się to wszystko podoba! - wybuchnął Pete. - Nie chcę, żeby jakieś typy spod ciemnej gwiazdy podejrzewały, że mam coś, czego nie mam. Po takich można się spodziewać najgorszego. Oni nie uznają żadnych tłumaczeń.

- I pomyśleć, iż pozbywając się kufra, sądziliśmy, że wraz z nim znikną wszystkie nasze kłopoty - dodał Bob. - Jupe, masz jakiś plan?

Trzej Detektywi siedzieli w swoim warsztacie na zapleczu składu złomu. Miny mieli niewesołe. Nawet okrągła jak księżyc twarz Jupitera była teraz zatroskana.

- Obawiam się - powiedział - że ci ludzie, kimkolwiek są, nie zaprzestaną poszukiwań, aż znajdą pieniądze. Najlepiej będzie, jeśli my odnajdziemy je pierwsi, oddamy policji i zawiadomimy prasę. Wtedy dadzą za wygraną.

- Wspaniale! Fantastyczny pomysł! - stwierdził Pete sarkastycznie. - Musimy tylko odnaleźć ukryte lata temu pieniądze, których jak dotąd nie udało się znaleźć ani policji, ani agentom Ministerstwa Skarbu. Po prostu drobiazg. Zróbmy to przed kolacją, żeby mieć spokojny wieczór.

- Pete ma rację - powiedział Bob. - Jaką mamy szansę odnalezienia tych pieniędzy, kiedy nie posiadamy najmniejszej nawet wskazówki?

- To na pewno nie będzie proste - przyznał Jupiter. - Lecz myślę, że powinniśmy spróbować. Inaczej nie będziemy mogli spokojnie spać. Jesteśmy przecież detektywami. To byłoby dla nas prawdziwe wyzwanie.

Pete jęknął.

- Od czego zaczniemy, Jupiterze? - zapytał Bob.

- Przede wszystkim od założenia, że pieniądze ukryto gdzieś w pobliżu Los Angeles - odparł Jupiter, cedząc słowa. - Oczywiście, jeśli schowano je w Chicago, nie mamy żadnych szans.

Wyraz twarzy Pete'a wskazywał, iż wątpił, by mieli jakiegokolwiek szansę w obu przypadkach.

- Następnie - ciągnął Jupiter - musimy zdobyć jak najwięcej informacji o poczynaniach Spike'a Neely'ego, kiedy ukrywał się u siostry. To oznacza, iż musimy odnaleźć panią Miller i poprosić, by opowiedziała nam wszystko, co wie.

- Ale przecież inspektor Reynolds powiedział, że policja już ją przesłuchiwała -

zaprotestował Bob. - Jeśli im się nie udało wydobyć od niej wszystkiego, to jak nam może się to udać?

- Jeszcze nie wiem - odparł Jupiter. - Ale musimy spróbować. To nasz jedyny trop. Wiem, że to trudne zadanie. Ale kiedy nie ma innego wyjścia, trzeba się porywać na trudne przedsięwzięcia. Może uda nam się zadać parę pytań, o których policja zapomniała.

- Że też musiała wpaść ci w ręce ta wzmianka o aukcji - wymamrotał Pete. - No, dobra, od czego zaczynamy?

- Po pierwsze - zaczął Jupiter, lecz przerwał mu donośny głos ciotki.

- Chłopcy! Obiad! Chodźcie szybko, bo wystygnie!

Pete zerwał się na równe nogi.

- To pierwsza dobra wiadomość, jaką dziś słyszałem! - krzyknął.

- Chodźmy jeść, a potem zastanowimy się nad twoją propozycją, Jupe.

Parę minut później chłopcy siedzieli w kuchni ciotki Matyldy. Pani Jones krzątała się, nakładając im kolejne porcje kielbasek z fasolą. Tytus Jones dołączył do nich.

- No, Jupiterze, co tam słyhać? Podobno przyjaźnisz się z Cyganami - powiedział.

- Cyganami? - Jupiter spojrzał na niego zdumiony. Bob i Pete zastygli z widelcami w połowie drogi do ust.

- Dziś rano przyszli tu dwaj Cyganie - wyjaśnił Tytus Jones. - Byliście wtedy w mieście. Wcale nie mówili, że są Cyganami. Nie byli nawet ubrani jak oni. Ale ja ich od razu rozpoznałem. W końcu, pracując tyle lat w cyrku, widziałem ich wielu.

Pan Jones pracował w młodości w cyrku objazdowym. Sprzedawał bilety i grał na piszczałkach.

- Szukali mnie? - zapytał Jupiter.

- Chyba tak - powiedział wuj i zachichotał. - Powiedzieli, że przynoszą dla grubasa wiadomość od pewnego przyjaciela. Wiem, Jupiterze, że nie jesteś gruby, tylko dobrze zbudowany i umięśniony, ale wiele osób, z jakichś powodów, określa cię jako grubasa.

- Co to była za wiadomość? - zapytał Jupiter, ignorując chichot wuja.

- Brzmiało to jak jakaś łamigłówka - odparł pan Jones. - Niech no sobie przypomnę... to było coś takiego: "Żaba w stawie z głodnymi rybami musi skakać wysoko, żeby się z niego wydostać". Czy coś ci to mówi? Jupiter zakrztusił się lekko, a Bob i Pete przełknęli głośno ślinę.

- Jeszcze nie wiem - odparł Jupiter. - Może to stare cygańskie przysłowie. Jesteś pewien, wuju, że to byli Cyganie?

- Absolutnie. Wystarczająco się na nich napatrzyłem. A poza tym, kiedy odchodzili,

słyszałem, jak rozmawiają w języku Romów - to stary cygański język. Wszystkiego nie zrozumiałem, lecz słyszałem słowa oznaczające "niebezpieczeństwo" i "mieć na oku". Mam nadzieję, że nie wpadliście w jakieś tarapaty.

- Cyganie! - prychnęła pani Jones, siadając przy stole. - Jupiterze, nie chcesz chyba powiedzieć, że kiedy w końcu pozbyłeś się tej okropnej czaszki, zacząłeś się teraz zadawać z Cyganami.

- Nie, ciociu. A przynajmniej tak mi się wydaje.

- Zachowywali się całkiem przyjaźnie - powiedział Tytus Jones, biorąc dokładkę kiełbasek.

Chłopcy w ciszy dokończyli obiad i wrócili do Kwatery Głównej.

- Wiadomość od Cyganów - rozpoczął Pete z powagą. - "Żaba w stawie z głodnymi rybami musi skakać wysoko, żeby się z niego wydostać". Czy oznacza ona to, co myślę, że oznacza?

Jupiter skinął głową.

- Obawiam się, że tak. To zawołane ostrzeżenie, żebyśmy się przyłożyli do rozwiązania tej zagadki, póki jeszcze czas. Chciałbym wiedzieć, jaka jest w tym wszystkim rola Cyganów. Najpierw spotykam Zeldę. Potem Zelda wraz z całą resztą znika. Teraz pojawia się dwóch Cyganów z wiadomością dla mnie od jakiegoś przyjaciela. Domyślam się, że chodzi o Zeldę, ale wolałbym, żeby nie była taka tajemnicza.

- Ja też - powiedział Pete z westchnieniem.

- I co teraz zrobimy? - zapytał Bob.

- Porozmawiamy z siostrą Spike'a Neely'ego - odparł Jupiter. - Wiemy, że mieszka w Los Angeles. Może jest w książce telefonicznej.

Pete podał mu książkę telefoniczną i Jupiter znalazł kilka osób o nazwisku Mary Miller. Zadzwoił do pierwszej na liście. Tubalnym głosem, jak u dorosłego mężczyzny, powiedział, że chciałby się skontaktować z panem Spike'em Neelym. Trzy pierwsze kobiety odparły, że nigdy nie słyszały o takiej osobie. Czwarta odpowiedziała, że Spike Neely nie żyje i nie można się z nim skontaktować. Jupiter powiedział "dziękuję" i odwiesił słuchawkę.

- Trafiliśmy na właściwą panią Miller - obwieścił pozostałym. - Mieszka w starej dzielnicy Hollywoodu. Proponuję, żebyśmy tam zaraz pojechali i spróbowali wydobyć z niej jakieś informacje.

- To mi wygląda na wyjątkowo ambitne zadanie - mruknął Pete. - Policja już ją dokładnie przepytала. Co nowego spodziewasz się jeszcze usłyszeć?

- Nie wiem - odparł Jupiter - ale żaba w stawie z głodnymi rybami powinna skakać

wysoko, żeby się z niego wydostać.

- Chyba masz rację - stwierdził Bob. - Jak się tam dostaniemy? Za daleko, żeby jechać na rowerach.

- Wstąpimy do wypożyczalni samochodów i poprosimy o Worthingtona i rolls-royce'a - powiedział Jupiter.

Nieco wcześniej Jupiter wygrał konkurs, w którym nagrodą była możliwość korzystania przez jakiś czas ze wspaniałego starego rollsa. Tak się złożyło, że później pomogli jednemu z pracowników wypożyczalni. W nagrodę pozwolono im korzystać z rolls-royce'a od czasu do czasu. Niestety, kiedy Jupiter zadzwonił do wypożyczalni, okazało się, iż samochód i Worthington, szofer, są już wynajęci przez innego klienta.

- No cóż, skoro nie możemy mieć rolls-royce'a, poprosimy wuja Tytusa, żeby Konrad zawiózł nas pikapem.

Okazało się jednak, że pan Jones zlecił Konradowi coś pilnego. Miał być wolny dopiero za kilka godzin. Chłopcy postanowili więc wykorzystać ten czas na malowanie starych mebli. Wybrali do pracy takie miejsce, z którego mogli obserwować cały dziedziniec i kręcące się po nim osoby. Żadna z nich nie zwracała jednak na chłopców najmniejszej uwagi.

Wreszcie powrócił Konrad. Wyładował pikapa i chłopcy wskoczyli na przednie siedzenie. Było tak ciasno, że Bob musiał siedzieć na kolanach Pete'a. Ruszyli do Hollywoodu.

Okazało się, że pani Miller mieszka w ładnym, parterowym domu, przed którym rosła palma i dwa bananowce. Jupiter zadzwonił do drzwi. Otworzyła im kobieta w średnim wieku, o miłym wyglądzie.

- Tak, słucham? Jeśli zbieracie prenumeraty, to z przykrością muszę powiedzieć, że nie potrzebuję już więcej czasopism.

- My nie w tej sprawie, proszę pani - powiedział Jupiter. - Czy zechce pani obejrzeć naszą wizytówkę?

I wręczył pani Miller służbową kartę Trzech Detektywów.

Popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- Jesteście detektywami, chłopcy? - zapytała. - Aż trudno w to uwierzyć.

- Można by nas nazwać młodszymi detektywami - powiedział Jupiter. - Proszę jeszcze przeczytać zaświadczenie, które dostaliśmy od policji.

Wręczył pani Miller list otrzymany od inspektora Reynoldsa przy okazji wcześniejszego śledztwa. Brzmiał on następująco:

Zaświadcza się, iż posiadacz niniejszego listu jest młodszym asystentem inspektora, współpracującym z policją z Rocky Beach. Będziemy wdzięczni za wszelką okazaną mu pomoc.

(Podpis) Samuel Reynolds

Główny inspektor policji

- No, no, to robi wrażenie - powiedziała pani Miller. - Ale czemu zawdzięczam waszą wizytę?

- Liczymy na pani pomoc - odparł szczerze Jupiter. - Mamy małe kłopoty i potrzebujemy pewnych informacji. Dotyczą pani brata, Spike'a Neely'ego. To długa historia. Może gdybyśmy weszli do środka, wyjaśniłbym to pani lepiej.

Pani Miller zawahała się, ale potem otworzyła drzwi szerzej.

- Proszę - powiedziała. - Wyglądacie na porządnych chłopców. Miałam już nadzieję, że nie usłyszę więcej o Spike'u. No, trudno. Ale spróbuję jakoś wam pomóc.

Po chwili siedzieli na kanapie w pokoju gościnnym pani Miller. Jupiter opowiedział, jak umiał najlepiej, o dziwnym rozwoju wypadków, które nastąpiły po kupieniu przez niego na aukcji starego kuferka. Oszczędził jednakże starszej pani informacji o Sokratesie. Nie wiadomo, jakie wrażenie mogłaby na niej wyrzeć opowieść o gadającej czaszce.

- Widzi więc pani - zakończył - ktoś najwyraźniej uważa, iż w kufrze Guliwera znajdzie wskazówkę, jak odnaleźć ukryte pieniądze. Ponieważ kufer przebywał u nas przez jakiś czas, ludzie ci podejrzewają, że odnaleźliśmy tę wskazówkę i wiemy, gdzie są pieniądze. Mogą... no cóż, mogą próbować zmusić nas do wyjawienia im czegoś, o czym nie mamy pojęcia. Teraz rozumie pani, na czym polega nasz kłopot.

- Dobry Boże, tak - odparła kobieta. - Nie wiem tylko, jak mogłabym wam pomóc. Powiedziałam już policji, że nigdy nie słyszałam o tych pieniądzach. Co więcej, nie miałam pojęcia, że mój brat jest kryminalistą, aż do chwili, gdy zjawili się tu policjanci, którzy go poszukiwali.

- Gdyby pani mogła jeszcze raz opowiedzieć nam wszystko, co powiedziała pani wtedy policji, może znaleźlibyśmy jakiś punkt zaczepienia.

- No cóż, spróbuję. Jak wiecie, zdarzyło się to sześć lat temu, ale wszystko pamiętam całkiem dobrze. Frank - to prawdziwe imię Spike'a - i ja widywaliśmy się rzadko, odkąd w wieku osiemnastu lat opuścił nasz dom. Czasem wpadał do nas w odwiedziny na kilka dni, ale nigdy nie opowiadał o tym, co robi.

Teraz zdaję sobie sprawę, że przyjeżdżał do nas, żeby się ukrywać po kolejnym

napadzie, ale wtedy sądziłam, że jest po prostu niespokojną duszą i nie może usiedzieć w jednym miejscu. Gdy kiedyś zapytałam o jego pracę, powiedział, że jest komiwojazerem. Zawsze, kiedy nas odwiedzał, pomagał mojemu mężowi.

Mąż prowadził małą, jednoosobową firmę remontową. Był bardzo zdolnym człowiekiem. Jeśli trzeba było pomalować dom, pomalował. Jeśli trzeba było wytapetować ściany, wytapetował. Umiał położyć podłogę, zamontować urządzenia łazienkowe. Potrafił wykonać wszystkie domowe prace i dobrze na tym zarabiał.

Jak już mówiłam, kiedy Spike nas odwiedzał, zawsze pomagał mężowi w pracach remontowych. Tym razem jednak nie chciał w ogóle wychodzić na zewnątrz. Wydawał się bardzo zdenerwowany. Jego wada wymowy była wyraźniejsza niż zazwyczaj. Pewnie wiecie, że właśnie z jej powodu został złapany - jąkał się, poprzedzając co któryś wyraz dźwiękiem "p-p-p". Na przykład zamiast "odszedł" mówił "p-p-p-odszedł".

Teraz już wiem, że ukrywał się wtedy po napadzie na bank w San Francisco. Prawie tydzień spędził sam w naszym domu. Oboje z mężem wychodziliśmy do pracy.

Starał się nam pomóc. Odmalował i wytapetował cały dół. Wiecie, jak to jest - człowiek tak zajęty, jak mój mąż, remontowaniem cudzych domów, zaniedbuje swój własny.

Wtedy też mój mąż zachorował. Dostał duże zamówienie na przebudowę restauracji i był zbyt chory, by ją skończyć. Poprosił Spike'a, by zrobił to za niego, i Spike nie umiał mu odmówić. Ale pamiętam, że ubierał się w szerokie ogrodniczki i wychodząc z domu, zawsze zakładał ciemne okulary.

Dokończenie pracy zajęło Spike'owi kilka dni. Stan mojego męża pogarszał się z dnia na dzień. Mieliśmy go właśnie przewieźć do szpitala, kiedy niespodziewanie umarł.

Pani Miller pociągnęła nosem i wytarła chusteczką oczy.

- Byłam pewna, że Frank zostanie, by mi pomóc w tych ciężkich chwilach, ale nie został. Nie czekał nawet na pogrzeb. Powiedział, że musi natychmiast wyjechać, spakował się i już go nie było. Byłam zdumiona. Później zrozumiałam, dlaczego to zrobił.

- Tak? - zapytał Jupiter. - A dlaczego?

- To przez nekrolog zamieszczony przeze mnie w gazecie. Wiecie, że w nekrologach podaje się zawsze rodzinę zmarłego. Napisałam, że o śmierci zawiadamiają żona i szwagier, Frank Neely, mieszkający pod tym samym adresem. Sądzę, iż Frank przestraszył się, że ktoś przeczyta ten nekrolog i znajdzie jego kryjówkę, więc uciekł.

Usłyszałam o nim dopiero, kiedy zjawiała się policja, żeby mnie przesłuchać po tym, jak go złapano w Chicago. Nic im nie umiałam powiedzieć. Jak już wam mówiłam, nie wiedziałam, że Frank rabował banki.

- Czy pani brat odjeżdżając, wspominał o swoim powrocie? - zapytał Jupiter.

- Tego nie pamiętam... chociaż, tak. Tak, teraz, kiedy o to zapytałeś, coś sobie przypomniałam. Powiedział: “Siostrzyczko, nie zamierzasz sprzedawać tego domu, prawda? Zostaniesz w nim na zawsze, żebym wiedział, jak cię znaleźć”.

- A co pani odpowiedziała?

- Odparłam, że nie zamierzam sprzedawać domu i zawsze będzie mógł mnie tu znaleźć, kiedy przyjedzie do miasta.

- Wobec tego już wiem, gdzie ukrył pieniądze! - oznajmił triumfalnie Jupiter. - Wspomniała pani, że brat większość czasu spędził w domu sam, kiedy pani i mąż pracowaliście. Istnieje więc tylko jedno logiczne wyjaśnienie tej zagadki - pieniądze są ukryte w tym domu!

Rozdział 11

Niemila niespodzianka

Bob i Pete patrzyli na Jupitera ze zdumieniem.

- Przecież inspektor Reynolds mówił, że dom został dokładnie przeszukany i niczego nie znaleziono - przypomniał Bob.

- Ponieważ Spike Neely okazał się od nich sprytniejszy - powiedział Jupiter. - Ukrył pieniądze tak dobrze, iż zwykle przeszukanie niczego nie wykazało. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów w dużych banknotach to paczka nie taka wielka, łatwo ją schować. Mógł to utknąć gdzieś na strychu lub pod okapem, w wielu miejscach. Zamierzał tu wrócić, kiedy się trochę uciszy, i odzyskać pieniądze. Niestety, trafił do więzienia i tam umarł.

- Rzeczywiście, przecież upewniał się, czy nie zamierza pani sprzedawać tego domu! - wykrzyknął Bob. - To dowodzi, że planował powrót.

- Miał też kilka dni na wyszukanie odpowiedniej kryjówki - wtrącił Pete. Nawet jemu udzieliło się podekscytowanie kolegów. - Wyprowadził w pole policjantów, ale mogę się założyć, Jupe, że ty, jak zawsze, sobie poradzisz!

- Czy pozwoliłaby nam pani rozejrzeć się trochę po domu, pani Miller? Może udałoby się nam odnaleźć to miejsce? - zapytał Jupiter z nadzieją w głosie.

Pani Miller pokręciła przecząco głową.

- Sądząc z waszego rozumowania, byłoby to całkiem prawdopodobne. Niestety, w tym domu niczego nie znajdziecie. - Znów pokręciła głową. - Widzicie, to nie jest dom, w którym wtedy mieszkałam. Przeniosłam się cztery lata temu. Nie sądziłam wcześniej, że to zrobię, lecz otrzymałam tak korzystną ofertę, iż nie mogłam odmówić. Sprzedałam go więc i wprowadziłam się tutaj.

Jupiter szybko otrząsnął się po tym rozczarowaniu.

- A więc pieniądze mogą być nadal w tamtym domu - powiedział.

- To możliwe - przyznała pani Miller. - W końcu Frank był bardzo sprytnym człowiekiem. Mógł przechytrzyć policjantów, mimo że tak dokładnie szukali. Powinniście się udać na Danville Street 532, gdzie wtedy mieszkałam.

- Dziękujemy pani. - Jupiter wstał z krzesła. - Bardzo nam pani pomogła. Skorzystamy z tych informacji natychmiast.

Pożegnali się i pospiesznie wyszli. Chwilę później znów siedzieli obok Konrada na przednim siedzeniu pikapa, ściśnięci jak sardynki.

- Chcielibyśmy teraz pojechać na Danville Street 532, Konradzie - poprosił Jupiter. -
Czy wiesz, gdzie to jest?

Wielki blondyn wydobyl zniszczoną mapę Los Angeles i okolicznych miejscowości. Po chwili znaleźli Danville Street. Była to krótka uliczka położona dość daleko od miejsca, w którym się znajdowali. Konrad miał niepewną minę.

- Jupe, będzie lepiej, jeśli wrócimy. Pan Tytus prosił, żebyśmy nie wyjeżdżali na długo.

- Tylko przejedziemy koło tego domu. Upewnimy się, gdzie stoi. I tak nie moglibyśmy tam wtargnąć i ni stąd, ni zowąd rozpocząć przeszukiwania. Musimy zawiadomić inspektora Reynoldsa o naszych domysłach.

Pete i Bob wiedzieli, że Jupiter wolałby sam znaleźć pieniądze i zanieść je triumfalnie na policję. Jednak wszyscy trzej zdawali sobie sprawę, że było to niewykonalne. Konrad zgodził się przejechać przez Danville Street w drodze powrotnej do Rocky Beach.

Humory chłopców znacznie się poprawiły, choć Pete nadal nie pozbył się pewnych wątpliwości.

- Jupe, nie mamy żadnej pewności, iż Spike Neely schował skradzione pieniądze w domu swojej siostry.

Jupiter potrząsnął głową.

- To jedyne logiczne rozwiązanie, Pete. Gdybym był Spike'em Neelym, zrobiłbym to samo.

Po wielu zakrętach wjechali w końcu na Danville Street.

- Tu są numery zaczynające się od dziewięciuset - zauważył Jupiter. - Konradzie, skreć w lewo. Tam powinny być pięćsetki.

Konrad skrecił i chłopcy uważnie przyglądali się mijanym domom, odczytując głośno ich numery.

- Jesteśmy przy ośmiuset. Jeszcze trzy przecznice i będziemy na miejscu - ogłosił Bob.

Przejeżdżali obok małych schludnych domków ze starannie utrzymanymi ogródkami. Chłopcy z wyciągniętymi szyjami pochylili się do przodu.

- Powinien być zaraz za następną przecznicą - powiedział Bob z przejęciem. - Wydaje mi się, że gdzieś tak w połowie ulicy. Oczywiście po prawej stronie, bo tu są numery parzyste.

- Konradzie, zatrzymaj się, jak dojedziemy do połowy ulicy - poprosił Jupiter.

- OK, Jupe.

Jechali jeszcze jakąś minutę i Konrad stanął.

- To tu, Jupe?

Jupiter nie odpowiedział. Patrzył z otwartymi ustami na wielki blok mieszkaniowy, zajmujący większą część ulicy po tej stronie jezdni. Nie było tu ani jednego prywatnego domku.

- Nie ma już numeru 532! - rzekł Bob głucho. - Stoi tu tylko ten blok o numerze 510.

- Trzeba będzie spisać nasz dom na straty - spróbował zażartować Pete.

- Konradzie, pojedźmy jeszcze przecznicę dalej. Może tam znajdziemy numer 532 - powiedział Jupiter.

Za następną przecznicą były już numery zaczynające się od czterystu. Numer 532 Danville Street nie istniał. Konrad zatrzymał wóz i spojrzał pytająco na chłopców.

- Czy sądzicie, że pani Miller nie powiedziała nam prawdy? - zapytał Bob. - Może nigdy nie mieszkała na Danville Street 532? Może teraz demuluje swój dom w poszukiwaniu pięćdziesięciu tysięcy dolarów? Może tylko chciała się nas pozbyć?

- Nie - stwierdził Jupiter. - Myślę, że pani Miller mówiła prawdę. Coś musiało się stać z domem spod numeru 532. Poczekajcie tutaj. Przeprowadzę szybkie dochodzenie i zobaczymy, czego się dowiem.

Jupiter wysiadł z samochodu i gdzieś zniknął. Wrócił po kilkunastu minutach lekko zadyszany.

- A jednak dowiedziałem się czegoś. Rozmawiałem z zarządcą, który pracuje w tym bloku od samego początku. Powiedział, że wybudowano go cztery lata temu i że aż sześć domów trzeba było przenieść, żeby zrobić dla niego miejsce.

- Przenieść! - krzyknął Pete. - Dokąd przenieść?

- Na Maple Street. To ulica równoległa do tej, położona jakieś trzy przecznice dalej. Domy były niezbyt duże i w dobrym stanie, więc zamiast je burzyć, przeniesiono je na wolne miejsca wzdłuż Maple Street i ustawiono na nowych fundamentach. A więc dom pani Miller wciąż stoi... tyle że gdzie indziej.

- Ale heca! - powiedział Bob. - Wędrujący dom! Tylko jak go rozpoznamy? Przecież teraz ma już inny numer, nie 532.

- Możemy zatelefonować do pani Miller i poprosić, by go opisała - stwierdził Jupiter.

- A potem przejdziemy się na Maple Street i poszukamy go.

- Nie dzisiaj. Robi się późno - zauważył Bob.

- Zgadza się, Jupe. Trzeba wracać do składu - wtrącił Konrad. - Jesteśmy już spóźnieni.

- Trudno. Poczekamy z tym do jutra - westchnął Jupiter. - No, dobra, Konradzie,

jedziemy do domu.

Konrad włączył motor i zjechał z krawężnika. W tej samej chwili wielki czarny samochód, stojący o przecznicę dalej, zrobił to samo i ruszył za nimi. Siedziało w nim trzech mężczyzn o zakazanych twarzach. Ani Konrad, ani chłopcy nie zauważyli ich.

Do składu dojechali tuż przed zamknięciem i wuj Tytus skarcił ich lekko za spóźnienie. Następnie zwrócił się do Jupitera:

- Jupiterze, mój chłopcze, podczas twojej nieobecności przyszła jakaś paczka. Spodziewasz się czegoś?

- Paczka? - zdumiał się Jupiter. - Nie, niczego się nie spodziewam. Co w niej jest, wuju?

- Nie wiem. To wielkie pudło adresowane do ciebie. Nie otworzyłem go, naturalnie. O, stoi tam, koło drzwi do biura.

Chłopcy pobiegli obejrzeć przesyłkę. Było to wielkie kartonowe pudło, pozaklejane ze wszystkich stron szeroką, brązową taśmą klejącą. Naklejka pocztowa wskazywała, że nadeszło ekspresem z Los Angeles, ale nazwiska nadawcy nigdzie nie było.

- Jak myślicie, co w nim jest? - zapytał Pete.

- Musimy je otworzyć - stwierdził Jupiter z zaciekawionym. - Zanieśmy je do warsztatu.

Razem z Pete'em zadźwigali pudło przez cały dziedziniec do swego ustronnego miejsca pracy. Jupiter wyjął swój cenny szwajcarski nóż o wielu ostrzach, szybko poprzecinał taśmę i otworzył karton. Wszyscy trzej wpatrywali się z konsternacją w zawartość pudła.

- O, nie! - jęknął Pete. - Tylko nie to!

Nawet Jupiter nie mógł przez chwilę wydobyć z siebie głosu.

- Ktoś nam odesłał kufer Guliwera - wykrztusił wreszcie. Spoglądali na wieko kuferka, którego mieli nadzieję już nigdy nie oglądać, gdy wtem z jego wnętrza doszedł stłumiony głos:

- Pospieszcie się! Odnajdźcie... wskazówkę!

Sokrates! Przemówił do nich z zamkniętego kufra!

Rozdział 12

Trzej Detektywi znajdują trop

- I co teraz? - spytał ponuro Pete.

Było późne popołudnie następnego dnia. Sobota. Trzej Detektywi zebrali się na naradę na zapleczu składu. Minionego wieczoru żaden z nich nie miał ochoty zastanawiać się nad zagadkowym powrotem kufra Guliwera. Byli tym faktem dość wstrząśnięci. Schowali pudło koło maszyny drukarskiej i postanowili z wszelkimi decyzjami odczekać do następnego dnia.

Bob skończył swój biblioteczny dyżur, a Jupiter, odpowiedzialny za skład podczas nieobecności ciotki i wuja, skorzystał z chwilowego zastoju w interesie i też do nich dołączył.

Wszyscy trzej spoglądali teraz na kufer, zastanawiając się, co z nim zrobić.

- Wiecie co? - odezwał się Bob. - Zawieźmy go od razu do inspektora Reynoldsa, powiedzmy mu wszystko, co wiemy, i niech on dalej prowadzi tę sprawę.

- Dobry pomysł! - zgodził się Pete entuzjastycznie. - I co ty na to, Jupe?

- Może i macie rację - odparł Jupiter powoli. - Tylko że tak naprawdę, to wiemy niewiele. Domyślamy się jedynie, że Spike Neely ukrył skradzione pieniądze w domu swojej siostry, ale to wcale nie jest takie pewne. Po prostu - prawidłowa dedukcja.

- Mnie to przekonuje - powiedział Bob. - Spike zjawił się u siostry tego samego dnia, kiedy napadł na bank w San Francisco. A więc musiał mieć pieniądze przy sobie. Obawiał się pościgu i najprawdopodobniej ukrył je gdzieś w domu, zanim wyszedł. Myślał, że siostra pozostanie w nim na zawsze i że kiedy sprawa przycichnie, będzie mógł wrócić po pieniądze.

- A poza tym - wtrącił Pete - jeśli nawet nie schował pieniędzy w tym domu, to nasze szanse na ich odnalezienie są zerowe. A więc jest to nasz jedyny trop.

- Wczoraj Sokrates do nas przemówił - przypomniał Jupiter.

- Nie da się ukryć! - wzdrygnął się Pete. - I wcale mi się to nie podobało.

- Fakt. Było to nieco przerażające - zgodził się Bob.

- Niemniej, odezwał się do nas. Nie będę teraz wnikał, jak to zrobił - powiedział Jupiter. - Kazał się nam pospieszyć i znaleźć właściwy trop. A zatem, w kufrze musi być jakaś wskazówka, nawet jeśli nie udało nam się na nią trafić za pierwszym razem.

- Jeśli rzeczywiście tam jest, to inspektor Reynolds może oddać kufer do policyjnego laboratorium, gdzie go zbadają milimetr po milimetrze - Pete wyraźnie miał już dość tej sprawy. - A być może nie będzie to wcale potrzebne. Jeśli znajdzie dom pani Miller na Maple

Street, może go przeszukać z nakazem sądowym i odnaleźć te pieniądze.

- To prawda - zgodził się Jupiter. - No, dobrze. Lecz najpierw musimy zadzwonić do pani Miller, żeby się dowiedzieć, jak wygląda jej dom. Potem opiszemy go inspektorowi.

- A więc, do dzieła! Chodźmy do Kwatery Głównej! - zawołał Pete.

- Zaczekajcie chwilę - Jupiter wrócił na dziedziniec i poprosił Hansa i Konrada, żeby zajęli się nielicznymi klientami, którzy kręcili się po składzie. Potem wszedł za Bobem i Pete'em do Tunelu Drugiego.

Po chwili byli już w Kwaterze Głównej. Jupiter odnalazł w książce telefonicznej numer do pani Miller i przeprowadził z nią krótką rozmowę.

- Jak wyglądał mój dom? - powtórzyła pytanie zdumiona pani Miller. - Ależ, na litość boską, wystarczy znaleźć numer 532 Danville Street i to wszystko.

Na wiadomość, że jej stary dom został przeniesiony, a na jego miejscu stoi wielki blok, pani Miller na chwilę zaniemówiła.

- Blok! - szepnęła, dochodząc do siebie. - Teraz się nie dziwię, dlaczego temu człowiekowi tak zależało na kupieniu mojego domu. Gdybym знаła prawdę, zażądałabym więcej pieniędzy. No trudno, w każdym razie jest to mały bungalow kryty brązowym gontem. Na strychu, od frontu, jest okrągłe okienko. A poza tym nie ma w nim niczego szczególnego. To po prostu ładny, solidnie zbudowany bungalow.

- Dziękuję pani - powiedział Jupiter. - Jestem pewien, że policja go znajdzie.

Odłożył słuchawkę i popatrzył na przyjaciół.

- Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej jestem przekonany, że pieniądze są w starym domu pani Miller, w jakiejś chytrej kryjówce. Jestem też pewien, że kufer zawiera jakąś wskazówkę.

- Nawet jeśli zawiera, to i tak mam go dosyć! - krzyknął Pete. - Widzieliście, co się stało z Maksymilianem Mistycznym. Teraz kufer wrócił do nas, a ja go wcale nie chcę. Jest niebezpieczny. Niech inspektor Reynolds sam szuka tych wskazówek.

- Hmm, obiecaliśmy inspektorowi współpracę - zdecydował Jupiter. - Powinniśmy więc chyba zawieźć mu ten kufer. Zadzwonię, żeby go uprzedzić o naszym przyjeździe.

Chwilę potem połączył się z komendą policji.

- Biuro inspektora Reynoldsa, porucznik Carter przy aparacie - odezwał się szorstki nieznanego głosu.

- Mówi Jupiter Jones. Czy mogę rozmawiać z inspektorem Reynoldsem?

- Szef będzie dopiero jutro - odparł sucho porucznik Carter. - Zadzwonić jeszcze raz.

- Ale to może być ważne. Widzi pan, chyba odnaleźliśmy wskazówkę, która...

- Daj spokój, dzieciaku! - przerwał mu zniecierpliwiony porucznik Carter. - Jestem bardzo zajęty i nie zamierzam wysłuchiwać jakichś niestworzonych historii. Może szef pozwala ci czasem na zabawę w policję, ale osobiście uważam, że dzieciaki takie jak ty powinno być widać, ale nie słyszeć.

- Ale inspektor prosił, żebym...

- Wyjaśnij to z nim jutro! Muszę kończyć! - Rozległ się trzask rzuconej słuchawki.

Jupiter też odłożył słuchawkę i popatrzył zmieszany na Boba i Pete'a.

- Coś mi mówi, że porucznik Carter nas nie lubi - odezwał się Pete.

- On chyba nie lubi nikogo, a zwłaszcza dzieci - dodał Bob.

- Wielu dorosłych myśli podobnie - westchnął Jupiter. - Uważają, że jesteśmy za młodzi, by mieć rozsądne pomysły. A w rzeczywistości nasze wnioski są często trafniejsze dzięki temu, że mamy świeższe spojrzenie na pewne sprawy. Wygląda na to, że kufer możemy dostarczyć inspektorowi dopiero jutro... a nawet później, bo jutro jest niedziela. Może będziemy musieli poczekać aż do poniedziałku. Proponuję więc, abyśmy jeszcze raz przejrżeli jego zawartość. A nuż trafimy na wskazówkę, o której mówił Sokrates.

- Mam dosyć tego kufra - stwierdził stanowczo Pete. - Mam dosyć Sokratesa. Nie chcę, żeby do mnie mówił.

- Nie wydaje mi się, żeby jeszcze raz do nas przemówił - odparł Jupiter. - On chyba unika bezpośrednich rozmów. Poprzednio rozmawiał ze mną w ciemnym pokoju, a teraz z głębi kufra, nigdy bezpośrednio.

- Powiedział "buuu!" do twojej ciotki - przypomniał Bob.

- Tak. Tego nie umiem wyjaśnić - przyznał Jupiter. - Słuchajcie, a może by tak otworzyć kufer i sprawdzić, czy coś z niego nie zginęło?

Przezołgali się z powrotem Tunelem Drugim i otworzyli kufer. Wyglądał tak, jak go zostawili. Sokrates leżał w rogu owinięty w stary aksamit. List wciąż znajdował się pod wyściółką na dnie.

Jupiter wyjął Sokratesa, odwinął go i wraz z podstawką z kości słoniowej umieścił na starej maszynie drukarskiej. Następnie wydobyl list.

- Przeczytajmy go jeszcze raz - zaproponował. Wszyscy trzej pochylili się nad listem. Jak poprzednio, wydawał się całkiem niewinny.

Szpital Więzienia Stanowego, 17 lipca

Drogi Guliwerze,

Tylko kilka słów od twojego starego kumpla i towarzysza z celi więziennej, Spike'a

Neely'ego. Jestem w szpitalu i wygląda na to, że moje dni są policzone.

Mam ich przed sobą może pięć, może trzy tygodnie, a może nawet dwa miesiące. Lekarze nie są pewni. W każdym razie nadeszła pora pożegnania.

Jeśli będziesz kiedyś w Chicago, zajrzyj do mojego kuzyna Danny'ego Streeta. Pozdrów go ode mnie. Chciałbym ci jeszcze wiele powiedzieć, ale nie mogę.

Twój przyjaciel

Spike

- Jeśli jest tu ukryta jakaś wskazówka, to ja, niestety, jej nie widzę - mruknął Jupiter. - Ciekawe, czy... czekajcie! Znalazłem coś! Spójrzcie!

Podał Bobowi list wraz z kopertą.

- Widzisz, czego nie zauważyliśmy?

- Czego nie zauważyliśmy? - powtórzył Bob zdumiony. - Ja nie widzę niczego specjalnego, Jupe.

- Znaczkę na kopercie! - powiedział Jupiter. - W poszukiwaniu ukrytej wiadomości nie zajrzeliśmy pod znaczki!

Bob przyjrzał się uważniej znaczkom: pierwszy za dwa centy, a drugi za cztery. Ten za cztery centy miał ucięty jeden róg. Bob przesunął po nich palcami i mina całkiem mu się zmieniła.

- Jupe! - krzyknął. - Masz rację! Pod jednym znaczkami coś jest. Ten za cztery centy z uciętym rogiem wydaje się grubszy niż ten za dwa.

Pete też przesunął palcem po znaczkach i skinął głową. Znaczek za cztery centy był odrobinę grubszy. Nie było tego widać na oko, chyba że patrzyło się z bardzo bliska.

- Chodźmy do Kwatery Głównej, Odkleimy znaczki i zobaczymy, co tam jest! - krzyknął Bob.

Znów przeczołgali się tunelem i w parę minut zagotowali wodę w małym czajniku. Jupiter przytrzymał kopertę nad parą, aż znaczki same odpadły. I wtedy aż krzyknął z wrażenia.

- Patrzcie! Pod spodem jest jeszcze jeden znaczek - zielony, jednocentowy!

- To dziwne - zmarszczył czoło Bob. - Co to ma oznaczać, Jupe?

- Ja ci powiem, co to ma oznaczać - wtrącił się Pete. - Nie ma w tym nic tajemniczego. Nie pamiętasz, że w czasie, kiedy ten list został nadany, cena znaczków wzrosła o jednego centa? Spike Neely prawdopodobnie przykleił najpierw znaczek za centa, potem uświadomił sobie, że to za mało, i dokleił jeszcze jeden za dwa centy. A na jednocentowy przykleił ten za

cztery.

- O rany! To by się zgadzało - przyznał Bob. - Jupe, Pete chyba trafił w dziesiątkę.

- Nie byłbym taki pewien.

Jupiter z posępną miną wpatrywał się w zielony znaczek. Potem delikatnie odkleił go od koperty.

- Pod spodem może być coś napisane - powiedział.

- Nic - stwierdził Bob, kiedy odwrócili znaczek. - Na żadnym znaczku nic nie ma. I co teraz, Jupe?

- To zbyt niezwykle, aby było przypadkowe - odparł Jupiter, marszcząc brwi. - To musi coś oznaczać.

- Ale co? - zapytał Pete.

- Będę teraz głośno myślał - zapowiedział Jupiter. - Spike wiedział, że list będzie ocenzurowany. Dedukuję więc, iż posłużył się znaczkami do przesłania wiadomości. Przykleił jeden znaczek na drugi tak starannie, żeby nikt się nie zorientował. Spodziewał się, iż Guliwer dokładnie zbada cały list i znajdzie dodatkowy znaczek. Dedukuję, że jego zielony kolor ma oznaczać kolor amerykańskich banknotów, a sam znaczek symbolizuje ukryte pięćdziesiąt tysięcy. Spike chciał w ten sposób powiedzieć... Przerwał i zamyślił się głęboko. W ciszy, która nastąpiła, rozległ się donośny okrzyk Boba:

- Mam! Znaczek jest kawałkiem papieru, zgadza się? Banknoty to też papier. Spike przykleił kawałek papieru na inny kawałek papieru. Chciał w ten sposób powiedzieć Guliwerowi, że pieniądze zostały schowane pod jakimś papierem.

Pani Miller powiedziała, że kiedy Spike ukrywał się w jej domu, wytapetował cały dół! I wtedy właśnie ukrył pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Ułożył banknot obok banknotu i nakleił na nie tapetę!

- No, no! - odezwał się Pete z podziwem. - Trafiłeś, Bob. To musi być odpowiedź. Zgodzisz się, Jupe?

Jupiter skinął głową.

- Tak. Dedukcja godna podziwu. Przypomina mi to pewną historię, którą kiedyś czytałem. To opowieść sensacyjna niejakiego Roberta Barra. Jeden z jej bohaterów, Lord Chizelrigg, ukrywa duże ilości złota, przetapiając je na złotą folię, którą podkleja tapetę. Ta sama zasada. Tyle że Spike Neely używał papierowych pieniędzy, które o wiele łatwiej podkleić.

- Zaraz, chwileczkę! - przerwał mu Bob. - Pani Miller mówiła, że Spike Neely kończył jakąś robotę zaczęta przez jej męża. A może tam ukrył pieniądze?

- Nie sędę - pokręcił głową Jupiter. - Najlepszym miejscem byłoby... aj! aj! aj!
- Co "aj! aj! aj!" ? - zapytał Pete. - Co tak ajujesz, Jupe?
- Przecież Spike wszystko nam wyjaśnia! To znaczy, wyjaśnia Guliwerowi. W liście. Spójrzcie tylko! - Jupiter podał list Bobowi i Pete'owi.
- Widzicie, od czego zaczyna? "Może pięć dni lub trzy tygodnie, a może nawet dwa miesiące". Napiszcie te cyfry obok siebie. Utworzą 532. Co wam mówi ta liczba?
- To numer domu pani Miller! - krzyknął Bob. - Danville Street 532.
- Zgadza się - potwierdził Jupiter. - A spójrzcie na to. Mówi Guliwerowi: "Jeśli będziesz kiedyś w Chicago, zajrzyj do mojego kuzyna Danny'ego Streeta".
- Danny może oznaczać Danville! - krzyknął Pete.
- Racja! - zgodził się Jupe. - Ta część o kuzynie z Chicago jest tylko po to, by odwrócić uwagę od słów Danny Street. Już bardziej otwarcie nie odważył się napisać. Spike Neely przekazywał Guliwerowi wiadomość, że pieniądze są schowane na Danville Street 532.
- Pod tapetą! - krzyknął Bob. - Nie odważył się więcej przekazać, ale trzeba przyznać, że naklejenie jednego znaczka na drugi było bardzo pomysłowe!
- Rozwiązaliśmy tę łamigłówkę - podsumował Pete z promiennym uśmiechem. Potem zamyślił się. - No tak, ale w jaki sposób dostaniemy się do tych pieniędzy?
- Nie możemy tam wejść i powiedzieć: "Przepraszamy bardzo, ale właśnie chcielibyśmy zerwać państwa tapetę" - zauważył Bob
- Nie - zgodził się Jupiter. - To zadanie dla policji. Musimy powiedzieć o tym inspektorowi Reynoldsowi. Nie ma sensu rozmawiać z porucznikiem Carterem. Całkiem jasno dał do zrozumienia, że mamy mu nie przeszkadzać. Jutro lub w poniedziałek, kiedy inspektor wróci...
- Przerwał mu dzwonek telefonu. Jupiter zaskoczony podniósł słuchawkę.
- Trzej Detektywi, Jupiter Jones przy telefonie.
- To dobrze! - rozległ się apodyktyczny głos. - Tu mówi George Grant.
- George Grant? - Jupiter zmarszczył czoło. Nazwisko nie było mu znane.
- Zgadza się. Inspektor Reynolds przekazał ci chyba, że będę się z tobą kontaktował?
- Niestety, nie. Nie wspominał mi o panu, panie Grant.
- Musiał zapomnieć. To on dał mi twój numer telefonu. Jestem agentem do spraw specjalnych Stowarzyszenia Ochrony Bankierów. Mam cię na oku, odkąd przeczytałem artykuł o tym, jak kupiłeś kufer Guliwera Wielkiego. I...
- Tak? - odezwał się Jupiter, zdezorientowany przedłużającą się przerwą.
- Czy wiecie, chłopcy, że trzy największe zbiry Kalifornii obserwują was dzień i noc?

Rozdział 13

Niepokojąca wiadomość

- O-o-obszernują nas? - głos Jupitera lekko zadrżał, a Pete i Bob wstrzymali oddech.

- Nie da się ukryć. Obserwują was i śledzą. Nazywają się Munger Trzy Palce, Benson Słodka Buzia i Leo Nożownik. Siedzieli w więzieniu ze Spike'em Neelym i teraz mają nadzieję, że trafią za wami do jego pieniędzy.

- My-my nie zauważyliśmy, aby nas ktoś śledził, panie Grant.

- Oczywiście, że nie. Ci faceci to profesjonaliści. Wynajęli dom przy drodze dojazdowej do składu złomu i obserwują was przez lornetki. Kiedy gdzieś jedziecie, śledzą was.

- Musimy zawiadomić policję - stwierdził Jupiter poruszony, a Bob i Pete, słuchający rozmowy przez głośnik, przytaknęli.

- Mówiłem już o tym inspektorowi Reynoldsowi - powiedział pan Grant. - Policja mogłaby ich stąd wykurzyć, ale nic więcej. Do aresztowania nie ma podstaw. Samo obserwowanie kogoś nie jest przestępstwem. A oni oprócz tego niczego innego nie zrobili... jak na razie.

- Inspektor Reynolds właśnie się obawiał, że bandyci pomyślą, iż wiemy, gdzie są ukryte pieniądze. Dlatego pilnują nas na wypadek, gdybyśmy się po nie wybrali.

- Nawet nie próbujcie. Kto wie, co Trzy Palce i reszta mogliby wam zrobić. Jeśli macie jakieś wskazówki, idźcie z tym na policję. Dobrze wam radzę.

- Nie mieliśmy ich... jak dotąd.

- Ale teraz macie?

- No cóż... tak - przyznał się Jupiter. - Chyba właśnie trafiliśmy na coś ważnego.

- Dobra robota! - ucieszył się pan Grant. - Jedźcie z tym zaraz do inspektora Reynoldsa. Odbędziemy sobie wspólną pogawęd... Ach, niestety. Zapomniałem, że inspektora nie ma dziś w mieście.

- No właśnie. Próbowaliśmy się do niego dodzwonić. Zastępuje go porucznik Carter, ale on o niczym nie chciał słyszeć.

- A teraz, gdybyście przekazali mu tę informację, zasługę przypisałby sobie i zgarnąłby całą nagrodę.

- Nagrodę? - powtórzył Jupiter, a Bob i Pete spojrzeli na siebie z ożywieniem.

- Stowarzyszenie Ochrony Bankierów oferuje dziesięć procent wartości skradzionych

pieniędzy temu, kto je znajdzie. Należałoby się wam pięć tysięcy dolarów. Oczywiście, o ile wasza informacja okazałaby się prawdziwa.

- Pięć tysięcy dolarów! - szepnął Pete do Jupitera. - No, to mi się podoba! Zapytaj go, co musimy zrobić, żeby je dostać.

- Mam pewien pomysł - ciągnął dalej Grant. - Jeśli powierzycie waszą informację Stowarzyszeniu Ochrony Bankierów, my przekazemy ją dalej policji i nagroda wasza. W dokumentach zaznaczymy, że pieniądze znaleziono dzięki wam. Mógłbym do was podjechać i... Nie, to nie jest dobry pomysł.

Te zbiry pewnie by mnie rozpoznały i kto wie, na co mogłyby się ważyć. A może ty wymknąłbyś się niepostrzeżenie i spotkalibyśmy się niedługo na mieście?

- Nie mogę zostawić składu - odparł Jupiter, marszcząc brwi. - Odpowiadam za niego aż do powrotu wuja i ciotki. Mają być za godzinę lub dwie.

- Hmm... Rozumiem. A czy mógłbyś się wymknąć wieczorem, już po zamknięciu składu? Chętnie spotkałbym się z całą waszą trójką. Ale musielibyście wyjść tak, by Trzy Palce i reszta was nie zauważyli.

- To by się chyba dało załatwić, proszę pana - zgodził się Jupiter.

- Bob z Pete'em i tak muszą zaraz wracać do domu na kolację. Jak pan sądzi, czy będą śledzeni?

- Wątpię. Złodzieje są głównie zainteresowani tobą. Jesteś pewien, że uda ci się wymknąć niepostrzeżenie?

- Tak, proszę pana. Jestem pewien - odparł Jupiter, myśląc o Czerwonej Furtce Pirata, potajemnym wyjściu w płocie na tyłach składu.

- Ale byłbym dość późno, ponieważ dziś jest sobota i skład zamykamy dopiero o siódmej.

- Świetnie. Czy ósma ci odpowiada?

- Sądzę, że tak, panie Grant.

- To może spotkajmy się w parku Oceanview. Będę siedział na ławce przy wschodnim wejściu i czytał gazetę. Ubrany będę w brązową marynarkę i kapelusz z rondem. Niech każdy z was przyjdzie osobno i upewnijcie się, czy nikt was nie śledzi. Zrozumiałeś?

- Tak jest.

- I nikomu ani słowa o naszym spotkaniu, aż usłyszę, co macie do powiedzenia. Jasne?

- Wszystko jasne, panie Grant.

- A zatem, do zobaczenia o ósmej.

Kiedy Jupiter odłożył słuchawkę, Pete wydał z siebie długo tłumiony okrzyk:

- O, rany! Pięć tysięcy dolarów nagrody! Co jest, Jupe? Co ci tak mina z rzedła?

- Przecież jeszcze nie znaleźliśmy pieniędzy Spike'a Neely'ego - odparł Jupiter.

- Ale znajdziemy. Lub znajdzie je policja, kiedy pan Grant przekaze im nasze wskazówki. Może nawet pozwoli nam uczestniczyć w poszukiwaniach.

- Nie licz na to, jeśli porucznik Carter będzie miał coś do powiedzenia - skwitował Bob.

- Szkoda, że inspektor Reynolds musiał dziś wyjechać - powiedział Jupiter. - Chciałbym mu osobiście przekazać te informacje. No, ale skoro zna pana Granta...

Przerwało mu nawoływanie dochodzące z dziedzińca.

- Jupe! Trzeba wydać resztę klientom!

- To Konrad. Lepiej wróć do pracy. W końcu odpowiadam za cały interes. Czy możecie spakować kufer i schować Sokratesa?

- Ojej! - Bob popatrzył na zegarek. - Jupe, muszę zdążyć do biblioteki przed zamknięciem. Zostawiłem tam kurtkę. A potem muszę się pokazać w domu.

- W porządku. Ja spakuję kufer - powiedział Pete. - A potem też zmywam się do domu. Spotykamy się w parku o ósmej. Zgadza się?

- Zgadza - potwierdził Jupiter.

Po wyjściu z Kwatery Głównej rozstali się. Pete bez entuzjazmu ruszył w stronę kufra i Sokratesa.

- No i co? - przemówił wyzywającym tonem do czaszki. - I co teraz powiesz, kiedy już odnaleźliśmy trop?

Sokrates uśmiechnął się do niego bez słowa.

Rozdział 14

Bombowe odkrycie Boba

Z głową pełną nowych informacji Bob pedałowal z całych sił zaułkami Rocky Beach, zmierzając okrężną drogą na miejsce spotkania w parku. Był już trochę spóźniony. Po kolacji zajął się przeglądaniem starych gazet w garażu. Znalazł to, czego szukał, i teraz starał się nadrobić stracony czas. Kiedy dotarł do wschodniego wejścia do parku, zobaczył, że Pete i Jupiter byli już na miejscu. Siedzieli na ławce obok młodego eleganckiego mężczyzny i prowadzili z nim ożywioną rozmowę. Na odgłos pisku hamulców roweru Boba podnieśli głowy.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział Bob, ciężko dysząc. - Prowadziłem ważne poszukiwania.

- Ty jesteś pewnie Bob Andrews - odezwał się pogodnie mężczyzna. - A ja jestem George Grant.

Podali sobie ręce i mężczyzna otworzył portfel, pokazując ozdobną wizytówkę wetkniętą za plastikową kieszonkę.

- Oto moja legitymacja, Bob, by formalnościom było zadość.

Wizytówka potwierdzała, że George Grant jest detektywem zatrudnionym przez Stowarzyszenie Ochrony Bankierów. Bob skinął głową i pan Grant schował portfel.

- Juve... - zaczął Bob, lecz Jupiter go uprzedził:

- Właśnie opowiadaliśmy panu Grantowi o liście i wskazówce, żeby szukać pieniędzy pod tapetą w starym domu pani Miller.

- Odwaliliście świetną robotę, chłopcy - pochwalił ich pan Grant. - Stowarzyszenie Ochrony Bankierów z przyjemnością dopilnuje, abyście otrzymali nagrodę. Jeśli pieniądze są pod tapetą, to nic dziwnego, że policja nie mogła ich znaleźć, przeszukując dom.

- Niemniej, mamy mały problem. Dom jest z pewnością zamieszkały. Musimy zdobyć specjalny nakaz policyjny, żeby tam wejść i zerwać tapetę. Nie jestem pewien...

Bob nie wytrzymał już dłużej.

- Właśnie o tym chciałem powiedzieć, panie Grant. Jeśli dom w ogóle jeszcze stoi, to nie ma w nim już nikogo. I na pewno już długo nie postoi!

Wszyscy przypatrywali mu się ze zdumieniem. Pospieszył więc z wyjaśnieniami.

- Kiedy wróciłem do biblioteki po kurtkę, usłyszałem, jak pewna kobieta zwierzała się bibliotekarce, że musiała się wyprowadzić z domu przy Maple Street, i mówiła o kłopotach,

jakie miała ze znalezieniem nowego mieszkania. W końcu przeprowadziła się tu, do Rocky Beach. Zagadnąłem o to bibliotekarkę, która mi powiedziała, że w zeszłym tygodniu był w gazecie artykuł na ten temat. Sprawdziłem w bibliotece, która to była gazeta, i odnalazłem w domu właściwy numer. Wyciąłem z niego ten tekst i oto on.

Wręczył Jupiterowi poskładany kawałek gazety. Jupiter rozłożył go i razem z panem Grantem i Pete'em szybko przeczytali artykuł.

POCZĄTEK WYBURZANIA DOMÓW POD NOWĄ AUTOSTRADĘ

Ponad 300 domów, w tym nowe i atrakcyjne, czeka puste, wyludnione, na buldożery i bomby burzące. Niedługo pozostaną już tylko wspomnieniem w pamięci właścicieli, którzy zmuszeni byli je opuścić, by można było poprowadzić tamtędy przedłużenie autostrady.

Cała Maple Street zniknie z powierzchni ziemi, a na jej miejscu powstanie sześciopasmowa autostrada odciążająca coraz bardziej zatłoczone samochodami ulice Los Angeles. Oprócz Maple Street, zniszczeniu ulegnie również kilka innych okolicznych domów.

Konieczność porzucenia domów była dla mieszkańców Maple Street przeżyciem nowym i bardzo przykrym. Niestety, doznało go już wielu innych ludzi, odkąd ruszył program rozbudowy autostrad wokół Los Angeles. Konieczność utrzymania stałego przepływu pojazdów przez nasze - coraz bardziej zatłoczone - miasto, spowodowała zniszczenie tysięcy domów, by na ich miejscu mogły powstać autostrady.

Artykuł był dłuższy, ale pan Grant doczytał do tego miejsca i cicho gwizdnął.

- Maple Street! - powiedział. - To ulica, na którą przeniesiono dom pani Miller cztery lata temu, czy nie tak, Jupiterze?

- Tak twierdzi zarządca tego wielkiego bloku.

- A teraz prawie cała Maple Street legnie w gruzach - rzekł pan Grant. - To zmienia postać rzeczy. Dom stoi pusty. Nie mamy czasu do stracenia. Jeszcze Trzy Palce i reszta gotowi nas uprzedzić. A może już tam byli i zabrali pieniądze!

- Jak to możliwe, panie Grant? - zapytał Pete.

- Jeździli wczoraj za wami przez cały dzień, chłopcy - odparł Grant. - Zobaczyli, jak wchodzicie do obecnego domu pani Miller, i domyślili się, że przyszedliście do niej po informacje. Potem na pewno śledzili was aż do wielkiego bloku i widzieli, Jupiterze, jak rozmawiasz z jego zarządcą. Bez trudu mogli się dowiedzieć, o czym rozmawialiście. Potem

wydedukowali, że pieniądze są w starym domku, i być może już ich tam szukają!

- Ojej! - krzyknął Bob. - Może już jest za późno!

- W normalnych okolicznościach wezwałbym policję - powiedział Grant. - Ale teraz szkoda każdej chwili. Proponuję jechać jak najszybciej na Maple Street, odnaleźć dom i spróbować uratować pieniądze. Nie ma czasu na zawiadomienie policji. Pojedziecie ze mną, chłopcy. Właściwie jesteście mi niezbędni, ponieważ wiecie, jak wygląda stary dom pani Miller, a ja nie wiem.

- Dobrze, panie Grant - zgodził się Jupiter - ale jak się tam dostaniemy?

- Pojedziemy moim samochodem, który stoi za rogiem. Możecie zostawić tu rowery. Zabierzemy je w drodze powrotnej. OK?

Nie tracąc czasu, Pete i Bob zabezpieczyli rowery. Jupiter, który wymknął się ze składu złomu przez Czerwoną Furtkę Pirata, przyszedł tu pieszo. Teraz poszli za panem Grantem do samochodu. Była to czarna furgonetka. Grant poprowadził ją do Hollywoodu bocznymi drogami przez wzgórze.

- Jesteś pewien, że pieniądze są ukryte pod tapetą? - zapytał Jupitera w drodze.

- Prawie pewien. Pani Miller powiedziała nam, że kiedy Spike Neely u niej mieszkał, pomalował i wytapetował niemal cały dom. Być może przykleił banknoty do ścian i przykrył je tapetą. Kiedy potem znalazł się w szpitalu, przemycił w liście adres tego właśnie domu. Chciał zawiadomić Guliwera, gdzie ukrył pieniądze, i jedyny sposób, jaki przyszedł mu do głowy, to było nalepienie jednego znaczka na drugi.

- Papier pod papierem - pan Grant pokiwał głową. - To by się zgadzało. Kiedy znajdziemy pieniądze, potrzebne będzie jakieś urządzenie z parą wodną, aby usunąć tapetę. Na szczęście w sobotę niektóre sklepy są czynne do późna. Ale przede wszystkim musimy znaleźć te pieniądze, i to znaleźć je pierwsi!

Jechali z dużą prędkością. Dopiero na terenie zabudowanym pan Grant zwolnił.

- Chciałbym spojrzeć na mapę miasta. Jest w schowku na rękawiczki - zwrócił się do Jupitera. Jupe podał mu mapę. Pan Grant zatrzymał samochód i przez chwilę ją studiował.

- Dobrze - mruknął. - Pojedziemy prosto aż do Houston Avenue. Przetniemy ją i znajdziemy się na Maple Street. Mówiłeś o numerze pięćset którymś?

- Tak, ale zarządca bloku wspominał, że sześćsetne też wchodzi w rachubę.

- Znajdziemy go - mruknął pan Grant. - Dobrze, że jest jeszcze jasno.

Kiedy jednak dojechali do Houston Avenue, zmierzch zaczął zapadać bardzo szybko. Pan Grant skręcił w lewo i po kilkunastu minutach znaleźli się na Maple Street.

Chociaż nigdzie nie było tabliczek z nazwą ulicy, nie mieli wątpliwości, że trafili

dobrze. W pewnym miejscu sterta gruzu niemal blokowała drogę. Domy na jednym z rogów już zburzono. Zostały po nich jedynie kupki gruzu i śmieci czekające na wywiezienie. Część ulicy po lewej stronie już całkiem oczyszczono. Na wolnym terenie ustawiono kilka buldożerów i dwa ogromne dźwigi, których szczęki poruszane silnikiem dieselowym z łatwością miażdżyły drewniane domki. Koło miejsca, w którym się zatrzymali, by popatrzeć na tę scenerię, stał samotnie dom, będący kiedyś restauracją. Dźwigi zdążyły już wyrwać z niego część frontu. Wyglądał jak po uderzeniu bomby.

- O, rany! Ale pobojuwisko - Pete wyraził to, co myśleli wszyscy.

- Sądzi pan, że zdążyliśmy, panie Grant?

- Chyba tak - odparł detektyw ponuro. - Jeśli się dobrze orientuję, to numery sześćsetne i pięćsetne zaczynają się kilka przecznic dalej, za tym zakrętem w prawo. Jedźmy to sprawdzić.

Ominął kupy gruzu i skręcił w prawo. Znaleźli się pośród domów jeszcze nie zniszczonych. Stały ciche i puste, z ciemnymi oknami.

Zaledwie kilkaset metrów dalej toczyło się normalne miejskie życie, ale tu, na Maple Street wiało grozą i pustką. Wszyscy mieszkańcy już się wyprowadzili. Za kilka miesięcy będzie tędy przebiegała betonowa autostrada z tysiącami samochodów. Teraz jednak cała ulica należała do nich i może jeszcze do chudego kota, który przebiegł im drogę.

- Mijamy numery dziewięćsetne - ogłosił pan Grant z zadowoleniem. - Do sześciuset już niedaleko. Uważajcie teraz.

Jechali wolno pośród opuszczonych domów. Od czasu do czasu wiatr trzaskał otwartymi drzwiami, jakby chciał powiedzieć, że nie ma już znaczenia, czy drzwi są otwarte, czy zamknięte.

- Zaczynają się sześćsetki - powiedział pan Grant. - Widzicie coś?

- Jest tam! - krzyknął Pete, wskazując na ładny bungalow.

- A tam jest drugi niemal identyczny - zauważył Jupiter, pokazując dom po przeciwnej stronie ulicy. - Oba mają okrągłe okienka na strychu.

- Hmm, dwa domy? - zmarszczył czoło pan Grant. - I nie wiecie, który jest tym właściwym?

- Pani Miller powiedziała tylko, że to mały bungalow z brązową dachówką i okrągłym okienkiem na strychu.

- W tych okolicach dużo jest takich domów - mruknął pan Grant. Jedźmy dalej. Zobaczymy, co jest za następną przecznicą.

Za następną przecznicą zauważyli jeszcze jeden bungalow z brązową dachówką i

okrągłym okienkiem na strychu. Stał między dwoma domami zdobionymi sztukaterią. Pan Grant zatrzymał samochód.

- Trzy możliwości - powiedział. - To trochę utrudnia sprawę. Ale przynajmniej jesteśmy tu pierwsi. Nie zauważyłem żadnego samochodu parkującego w pobliżu. Po Trzech Palcach i reszcie też ani śladu. Zostawimy samochód w bocznej uliczce, żeby nie rzucał się w oczy, i musimy obejrzeć wszystkie trzy domy, aż znajdziemy ten właściwy.

Rozdział 15

Poszukiwanie się rozpoczyna

Było już niemal ciemno, kiedy zbliżyli się do pierwszego bungalowu z brązową dachówką. Pan Grant rozejrzał się dookoła, ale na opustoszałej Maple Street nie było żywej duszy.

Popchnął drzwi. Nie ustąpiły.

- Zamknięte - stwierdził. - Ale skoro i tak ma zostać zburzony, nie musimy się przejmować, w jaki sposób dostaniemy się do środka.

Cieńszy koniec łomu, który przyniósł z samochodu, wsunął pomiędzy drzwi i futrynę. Kiedy go nacisnął, rozległ się trzask pękającego drewna i drzwi puściły.

Wszedł do środka, a Trzej Detektywi deptali mu po piętach. Wewnątrz panowały ciemności. Pan Grant poświecił latarką po ścianach. Znajdowali się w zakurzonej pomieszczeniu, które kiedyś było pokojem gościnnym. Po podłodze walały się jakieś papiery.

- Możemy równie dobrze zacząć stąd - stwierdził. - Choć ja ukryłbym pieniądze na zapleczu lub w holu. Czy masz nóż, Jupiterze?

Jupiter wyjął swój wspaniały szwajcarski nóż i otworzył największe ostrze. Przeciął kwiecistą tapetę, a pan Grant wsunął w otwór szpachelkę i oderwał pasek papieru. Pod spodem był tylko gips.

- Tu nie ma nic - stwierdził. - Musimy spróbować w innych miejscach, a potem sprawdzić resztę ścian i tak pokój po pokoju.

Pod tapetą na pierwszej ścianie był jedynie gips. Sprawdzili pozostałe ściany w kilku miejscach z podobnym rezultatem.

- No, dobrze, a teraz przejdziemy do jadalni - powiedział pan Grant.

Przyświecając sobie latarką, przeszli dalej. Jupiter naciął tapetę w pokoju jadalnym, a pan Grant odgiął kawałek od ściany. Pete wydał okrzyk radości.

- Coś zielonego pod spodem!

- Jupiterze, poświeć tutaj - zawołał pan Grant. - Może je znaleźliśmy!

Jupiter skierował smugę światła na odsłonięte miejsce. Ukazał się jakiś zielonkawy wzór.

- To tylko kolejna warstwa tapety - stwierdził pan Grant. - Sprawdźmy, co pod nią jest.

Pod spodem był znów jedynie gips.

Z jadalni przeszli do pierwszej sypialni. I znów nic. Podobny rezultat w drugiej sypialni. W łazience i kuchni ściany były malowane farbą. Jupiter wspiął się po wąskiej drabinie na strych. Tu nie było tapety.

- No cóż, pudło za pierwszym razem - powiedział pan Grant trochę zdenerwowany i spocony. - Spróbujmy w następnym domu.

Wyszli na zewnątrz. Było już całkiem ciemno. Jedyne latarnie na rogach ulicy wciąż się paliły. Wszystkie domy stały ciemne i trochę jak nie z tego świata. Pan Grant poprowadził chłopców do następnego bungalowu z brązowym dachem. Tym razem drzwi zastali otwarte.

Układ pokoi był taki, jak w poprzednim domu, ale tapeta wyglądała na nowszą.

- Może tym razem nam się poszczęści - odezwał się pan Grant z nadzieją w głosie. - Zrób nacięcie, Jupiterze.

Jupiter przeciął tapetę, pan Grant ją odgiął, ale pod spodem nie było niczego.

W coraz większym napięciu przenosili się z pomieszczenia do pomieszczenia, lecz i tym razem niczego nie znaleźli.

- A więc pozostaje nam już tylko jeden dom - powiedział pan Grant z lekką ochrypłym głosem. - To musi być ten właściwy!

Przeszli na drugą stronę ulicy do trzeciego bungalowu pasującego do opisu pani Miller. Podczas gdy pan Grant przygotowywał się do sforsowania zamkniętych drzwi, Jupiter oświetlił latarką framugę. Metalowe cyferki przytwierdzone do białej futryny odbiły światło.

- Nie rób tego! - skarcił go ostro pan Grant. - Musimy być ostrożni i nie zwracać niczyjej uwagi.

- Wydaje mi się tylko, że coś zauważyłem. Myślę, że to właśnie był dom pani Miller.

- Skąd wiesz, Juve? - wyszeptał Bob, Panująca dookoła pustka skłaniała do szeptu.

- No właśnie, skąd wiesz? - zapytał pan Grant.

- Ten dom ma numer 671. Kiedy go przeniesiono, numer został oczywiście zmieniony. Wydaje mi się, że są tu ślady po starym numerze.

- Czyżby? Przyjrzyjmy się im bliżej. Tylko szybko.

Jupiter wcisnął guzik latarki. W wąskiej smudze światła ukazały się cyfry. Tuż nad nowym numerem widać było ślady po farbie, wyblakłe, lecz jeszcze dość wyraźne.

- Numer 532! - krzyknął Pete. - Znaleźliśmy go.

- Dobra robota, Jupiterze - pochwalił pan Grant. - Wejdzmy teraz do środka i znajdziemy te pieniądze.

Drzwi odskoczyły z hałasem i wszyscy czterej weszli pospiesznie do pokoju gościnnego. Bob aż posapywał z emocji. Wreszcie trafili. Gdzieś w tym domu, pod tapetą

znajdowało się pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- Poświeć trochę, Jupiterze - polecił pan Grant. Jupiter oświetlił po kolei wszystkie ściany. Pokrywała je tapeta o wypukłych wzorach.

- Bardzo możliwe, że to tutaj - odezwał się Grant. - Pod taką grubą tapetą łatwo coś ukryć. Bierzmy się do roboty!

Jupiter szybko naciął papier, pan Grant go odgiął i pod spodem ukazał się goły tynk.

- Zaczniemy od rogu i będziemy się przesuwali dookoła pokoju - komenderował Grant. - Pięćdziesiąt kawałków w dużych banknotach nie zajęło całej ściany. Pospieszmy się.

Właśnie doszli do końca pierwszej ściany, gdy rozległ się jakiś hałas. Wszyscy czterej zdrętwieli.

- Co... - zaczął pan Grant, ale nie skończył zdania. Drzwi frontowe otworzyły się z impetem i w środku rozległ się tupot nóg. Szeroka smuga światła zatrzymała się na naszej grupce. Jednocześnie nieprzyjemny głos rozkazał:

- OK, wy tam! Wszyscy rączki do góry!

Rozdział 16

Gdzie są pieniądze?

Odwrócili się z podniesionymi rękami. Zmrużyli oczy, oślepieni silnym strumieniem światła, który uniemożliwiał rozpoznanie przybyszów.

- Jeśli jesteście z policji - zaczął pan Grant - to nazywam się George Grant i jestem agentem do zadań specjalnych w...

Hałaśliwy rechot przerwał mu w pół zdania.

- George Grant! A to dobre. Tak się przedstawiłeś dzieciakom?

Jupiter gwałtownie zamrugał oczami. Nagle uświadomił sobie, co się stało.

- Czy to nie jest pan Grant ze Stowarzyszenia Ochrony Bankierów? - zapytał.

- On? - znów rozległ się obrzydliwy rechot. - To Smooth Simpson, jeden z najzdolniejszych kryminalistów, jakich znam.

- Ale przecież ma służbową legitymację - zaprotestował Pete.

- Pewnie, że ma. Specjalnie dla niego drukowaną. Ma ich miliony. To żadna ujma, że dalsie się oszukać. Całą policję wyprowadził w pole już wiele razy.

Myślałeś, że sprzątniesz nam forszę sprzed samego nosa, co Smooth? Kiedy ten grubasek wszedł na teren składu, ale już z niego nie wyszedł, nawet po zamknięciu, zrozumieliśmy, że coś się święci. Wiedzieliśmy, że dom musi stać gdzieś w pobliżu. Powiedział nam o tym cieć z tego dużego bloku. Trafiliśmy do niego, śledząc grubasa. No i jesteśmy. Zauważyliśmy światło waszej latarki, kiedy wchodziliście do domu. A teraz przejmujemy dowodzenie.

- Jesteś Munger Trzy Palce, prawda? - powiedział pan Grant, a raczej Smooth Simpson. - Słuchaj, Trzy Palce, a może połączymy siły. Jeszcze nie znaleźliśmy tych pieniędzy. Możemy wam pomóc...

- Zamknij się! - wrzasnął człowiek z latarką. - Pieniądze znajdziemy sami, a ciebie zostawimy glinom. To cię nauczy, żeby z nami nie zadzierać. A teraz odwrócić się twarzami do ściany! Wszyscy! Ręce na kark! Żadnych fałszywych ruchów, bo pożałujecie! Leo i Słodka Buzia, dobrze ich zwiążcie.

Trzej Detektywi, zrezygnowani, wykonali posłusznie polecenie. Uświadomili sobie, jak bezwzględnie zostali wykorzystani przez spryciarza o imieniu Smooth. Powołanie się na inspektora Reynoldsa całkiem uspiło ich czujność. Smooth musiał się jakoś dowiedzieć, że inspektor wyjechał z miasta, i sprytnie ich podszedł, żeby zdobyć potrzebne informacje. Nic

dziwnego, że jak mógł, unikał kontaktu z policją!

Jupiter kopnął się w myślach za brak czujności. Ale wszystko brzmiało tak wiarygodnie! Smooth tak zręcznie to rozegrał. Na pewno czytał artykuł o kufrze. Skojarzył go z historią o zniknięciu łupu po napadzie na bank i plotkami o liście Spike'a Neely'ego, które już krążyły w złodziejskim świecie. Zaczął obserwować Jupitera i jego kolegów. Numer telefonu Jupitera mógł łatwo zdobyć z książki telefonicznej lub dzwoniąc do informacji.

Trzy Palce i jego ludzie śledzili Trzech Detektywów, a Smooth Simpson śledził ich wszystkich!

Na wyrzuty było za późno. Już jakieś zręczne ręce wiązały z tyłu nadgarstki chłopców.

Chwilę potem kazano im usiąść na podłodze i związano im nogi w kostkach. Kiedy byli całkiem obezwładnieni, Munger Trzy Palce zachichotał.

- No, to mi dopiero widok! Nie zakneblujemy was, bo i tak nikt nie usłyszy waszego wołania. A gdybyście próbowali jakichś sztuczek, to zostaniecie ogłuszeni. Nie bójcie się. W poniedziałek rano, kiedy ruszą prace, pewnie ktoś was znajdzie. Oczywiście, jeśli przedtem buldożery nie zniszczą tego domku.

Znów zachichotał. Teraz Jupiter i jego kompani mogli się przekonać, że Munger Trzy Palce jest niezłym osiłkiem. Dwaj pozostali byli znacznie mniejsi. Ich twarze nie było widać.

- No to zobaczymy, na czym stoimy - powiedział Trzy Palce. Poświecił latarką na ścianę, przy której Jupiter i Smooth pracowali wcześniej. - Szukaliście pieniędzy pod tapetą? Bardzo sprytna kryjówka. Nigdy bym na to nie wpadł. Dzieciak ci to podsunął, Smooth?

- Tak - przyznał Smooth. - Wskazówka była w liście, który Spike przesłał Guliwerowi. Cały czas znajdował się w kufrze.

- Też na to wpadłem. Dlatego chciałem dostać ten kufer. Moi chłopcy zdobyli go od tego wysokiego, chudego, ale ktoś ich napadł i odebrał kufer, zanim zdążyliśmy go otworzyć. Czy to przypadkiem nie twoja sprawka, Smooth?

- Nie. Nic o tym nie wiem.

- Ciekawe - mruknął Trzy Palce. - Kto to mógł być? Na pewno nie dzieciaki.

- To było czterech lub pięciu facetów z chustkami na twarzach - odezwał się po raz pierwszy jeden z ludzi Mungera. - Szybko i wprawnie nas załatwili. Nawet nie zdążyliśmy się zorientować, jak nas napadli.

- Kto to mógł być? - mruknął Trzy Palce. - Dużo jest chętnych na te pieniądze. Ale widać na niewiele im się przydał ten kufer. Inaczej byłiby tu przed nami. No, nie traćmy czasu na gadanie. Leo, Słodka Buzia, sprawdźcie, co jest pod resztą tapety.

Związana czwórka, leżąc na podłodze, przyglądała się w milczeniu, jak dwóch opryszków sprawnie cięło tapetę na pozostałych ścianach. Pomimo trudnej sytuacji, w jakiej się znaleźli, Jupiter nie przestawał zastanawiać się, kto mógł odzyskać kufer Guliwera i przysłać go na jego adres. Żadne rozwiązanie nie przychodziło mu jednak do głowy. Tymczasem pomocnicy Mungera przeszukali cały pokój gościnny, niczego nie znajdując.

- A więc nie w tym pokoju - stwierdził Trzy Palce. - Smooth, jeśli wiesz, który to pokój, to lepiej gadaj. Jak powiesz, to może cię rozwiążemy, gdy skończymy.

- Gdybym wiedział, nie traciłbym czasu na szukanie tutaj. Ale jeśli mnie rozwiążesz, to ci pomogę.

- Zapomnij o tym. Próbowaleś sprzątnąć nam tę forszę i teraz za to zapłacisz. Chodźcie, chłopaki, poszukamy w sypialniach.

Opryszki przeszły do pierwszej sypialni. Związana czwórka leżała na podłodze w zupełnych ciemnościach. Trzej Detektywi słyszeli odgłosy zdzierania tapety i przekleństwa po doznanych zawodzie.

- Chłopcy, przykro mi za to, co się stało - odezwał się Smooth Simpson ściszonego głosem. - Przyznaję, że was oszukałem, ale nie planowałem żadnej przemocy. Używam do pracy mózgu, a nie mięśni.

- To moja wina - przyznał Jupiter żałościwie. - Powinienem być bardziej podejrzliwy.

- Nie przejmuj się tym aż tak bardzo. Swego czasu nawet najlepszych wyprowadzałem w pole.

Leżeli dalej w ciszy, którą mąciły jedynie odgłosy z zaplecza domu, gdzie pracował Munger Trzy Palce i jego kolesie. Nagle wszyscy czterej zeszywnieli.

Drzwi frontowe lekko zaskrzypiały!

Słuchali w napięciu. Dostrzegli małą niewyraźną sylwetkę wślizgującą się do środka.

- Kto tam? - zapytał Smooth szeptem.

- Cicho! - odpowiedział mu szept. - Przychodzimy pomóc. Uważajcie, żeby się tamci nie zorientowali.

Do środka wszedł następny mężczyzna, a za nim jeszcze kilku. Poruszali się sprawnie i bezszelestnie.

- Trzymajcie się blisko ścian i drzwi - powiedział pierwszy z wchodzących. - Kiedy wyjdą, narzućcie im worki na głowy i zwiążcie ich. Żadnych noży! Jak się da, nie róbcie im krzywdy.

Odpowiedział mu cichy pomruk zgody.

Jupiter, Bob i Pete, oszołomieni, z rosnącą nadzieją czekali na rozwój wydarzeń. Kim

byli przybysze? Nie byli z policji, bo wtedy wpadliby tu z reflektorami i bronią. Czy aby na pewno byli przyjaciółmi? A może to inny gang szukający pieniędzy?

Z tylnych pokoi dobiegły gniewne głosy ludzi Mungera, którzy najwyraźniej znów niczego nie znaleźli. Odgłosy ich kroków stawały się coraz bliższe. Trzy Palce wszedł pierwszy, świecąc latarką po podłodze.

- No, dobra, grubasie! - warknął na Jupitera. - Koniec zabawy. Gadaj, gdzie jest forsa, albo...

Rozdział 17

Walka w ciemnościach

Nagle kilka ciemnych postaci rzuciło się na Mungera. Inni chwycili jego pomocnika. Trzeci mężczyzna próbował uciekać, lecz rozległ się tupot nóg, a po chwili gniewne okrzyki wskazujące, że ucieczka się nie powiodła.

Tymczasem w saloniku rozgorzała walka. Trzy Palce upuścił latarkę, która co rusz przez kogoś kopana, oświetlała sceny bijatyki.

Trzej Detektywi zauważyli, że Mungerowi nałożono na głowę worek. Wyężając wszystkie siły, zdołał strząsnąć z siebie kilku napastników, lecz zaraz rzucali się na niego następni. Wreszcie runął z hałasem na podłogę, a jego kompan zwałił się na niego. Rzucali się i kopali na wszystkie strony.

- Szybko! Zwiążcie im ręce i nogi. I zakneblujcie ich! - rozkazał głos.

Jeszcze przez chwilę toczyła się zażarta walka. W końcu Trzy Palce i reszta bandy zostali pokonani i związani. Trzy Palce zaczął się odgrażać, ale wsadzony w usta knebel uciszył go. Wszyscy trzej leżeli na podłodze obezwładnieni. Słysząc było jedynie ciężkie oddechy mężczyzn, którzy ich pokonali.

- Bardzo dobrze - rozległ się znajomy głos. - Poczekajcie na zewnątrz, a ja odwiążę chłopców.

Mężczyźni wyszli bezszelestnie. W domu został tylko jeden. Włączył latarkę i na moment oświetlił chłopców.

- Świetnie - uśmiechnął się. - Żaden nie upadł na was i nie zostaliście zgniecenii. Zaraz was uwolnię.

Położył latarkę na podłodze tak, by oświetlała chłopców, ale żeby ich nie oślepiła. Podeszedł do nich z długim nożem. Bob i Pete zobaczyli krępego mężczyznę z dużymi wąsami, którego nigdy wcześniej nie spotkali. Ale Jupiter rozpoznał go od razu.

- Lonzo! - krzyknął. - Cygan z domu Zeldy!

Lonzo roześmiał się i przeciął sznurki, którymi związano chłopców.

- Zgadza się. Znów się spotykamy.

- Ale... ale skąd się tu wzięliście? - spytał Jupiter oszołomiony, podnosząc się z podłogi i masując nadgarstki.

- Nie ma teraz czasu na rozmowy - powiedział Cygan. - A gdzie jest ten człowiek?

Oświetlił latarką miejsce, w którym leżał Smooth Simpson, ale Smootha nie było. Na

podłódze zostały tylko resztki sznurka.

- Uciek! - krzyknął Bob. - Pewnie przez cały czas rozluźniał sobie sznurki na rękach, a kiedy wybuchła bójka, wymknął się ukradkiem!

- Jest już daleko stąd - skwitował Lonzo. - To nieważne. Mamy trzech dla policji. A teraz wyjdźcie na zewnątrz. Zeldzie chce z wami mówić.

Zelda! Cygańska wróżka! Jupiter wyszedł na dwór. Bob i Pete deptali mu po piętach. Przy krawężniku parkowały trzy stare samochody. Dwa tylne pełne były pasażerów - Cyganów. W pierwszym siedziała tylko jedna kobieta, Zeldzie. Nie była w cygańskim stroju. Pewnie nie chciała zwracać na siebie uwagi.

- Nic im się nie stało, Zeldzie - zameldował Lonzo. - W środku mamy trzech związanych. Czwarty uciekł.

- Nieważne - powiedziała Zeldzie cicho. - Wsiadajcie do wozu, chłopcy. Musimy porozmawiać.

Wszyscy trzej wcisnęli się na siedzenie obok Zeldy. Lonzo został na straży.

- A więc, Jupiterze, nasze drogi znów się skrzyżowały. Tak było zapisane w gwiazdach i w kryształowej kuli. Cieszę się, że zdążyliśmy na czas.

- Czy nas śledziliście? - zapytał Jupiter i powoli zaczęło mu się przejaśniać w głowie.

- Tak - przyznała Zeldzie. - Lonzo i kilku innych mieli was na oku od czasu twojej wizyty u mnie. Kryształowa kula pokazała niebezpieczeństwo i chcieliśmy cię przed nim uchronić. Lonzo śledził tych, którzy śledzili ciebie. I kiedy zjawili się tu dziś wieczorem, sprowadził naszych ludzi na pomoc. No, ale do rzeczy. Czy znaleźliście pieniądze?

- Nie - westchnął Jupiter. - Najwyraźniej nie ma ich tutaj. A byłem taki pewien, że Spike ukrył je w domu swojej siostry. W liście mówi o tym niemal wprost. To jedyne logiczne rozwiązanie, jakie mi przychodzi do głowy.

- Guliwer był przekonany, że list Spike'a zawiera wskazówkę, jak odnaleźć pieniądze, ale nie potrafił jej znaleźć - powiedziała Zeldzie.

- Znała pani Guliwera? - zapytał Jupiter.

- Jesteśmy spokrewnieni. W dość niezwykły sposób. Zależy mi na oczyszczeniu jego imienia i miałam nadzieję, że dzięki swojej roztropności rozwiążesz tę zagadkę. Gdzie szukaliście pieniędzy?

- Pod tapetą - Nikt przed nami na to nie wpadł. Niestety, nie było ich tam.

- A skąd ci to w ogóle przyszło do głowy? - spytała Zeldzie.

- Spike wiedział, że nie może zbyt wiele wyjawić w liście - wyjaśnił Jupiter. - Wiedział, że będzie cenzurowany. Wpadł więc na bardzo sprytny pomysł.

- Na jaki pomysł, chłopcze? - dopytywała się Zelda niecierpliwie.

- No, opowiadaj.

Tym razem odpowiedział jej Bob:

- Zrobił coś niezwykłego ze znaczkami na kopercie. Przykleił dwa znaczki: jeden za cztery centy, a drugi za dwa. Pod czterocentowy z uciętym rogiem przykleił też znaczek za centa. Znaczek ten był zielony, jak dolary. Doszliśmy do wniosku, że chciał...

- Bob, zaczekaj! - krzyknął Jupiter.

Bob zamrugał oczami.

- Co się stało, Pierwszy? - zapytał.

- Powtórz to, co przed chwilą powiedziałeś.

- Powiedziałem tylko, że przykleił jednocentowy znaczek pod czterocentowym z uciętym rogiem i...

- To jest to! - krzyknął Jupiter. - To jest wskazówka!

- Jaka wskazówka? - wtrącił się Pete. Razem z Bobem i Zelda przypatrywali się ze zdumieniem Jupiterowi, który aż poczerwieniał z emocji.

- Pani Zeldo - Jupiter zwrócił się do Cyganki - Spike Neely miał wadę wymowy. Powiedział nam o tym inspektor Reynolds. Jąkał się i często poprzedzał wyrazy kilkoma "p-p-p".

- No, dobrze, chłopcze, ale co to ma wspólnego z...

- Od jego siostry wiemy, że na przykład "odszedł" wymawiał "p-p-p-odszedł". A jak wymówiłby słowo "róg"?

- Powiedziałby "p-p-p-róg" - odparła Zelda po chwili namysłu. Czy myślisz, że...

- Schował pieniądze pod progiem - wrzasnął Bob. - Był pewien, że Guliwer będzie pamiętał o jego wadzie wymowy i zrozumie, dlaczego uciął róg znaczka.

- Pani Miller mówiła nam, że Spike wytapetował prawie cały dom podczas ostatniej wizyty. To nam podsunęło pomysł, że ukrył pieniądze pod tapetą - powiedział Jupiter podekscytowany. - Nie pomyślałem wtedy, że naklejanie tapety na papierowe banknoty to nie najlepszy pomysł. Nie można jej odkleić bez uszkodzenia pieniędzy. A one tymczasem leżą sobie bezpieczne pod progiem...

- Lonzo! - zawołała Zelda. - Weź narzędzia z drugiego wozu. Chodźcie tu, chłopcy.

Weszli do domu, nie zwracając uwagi na trzech skrupowanych więźniów na podłodze. Jupiter uważał, że pieniądze są albo pod progiem pokoju dla gości, w którym mieszkał wtedy Spike, albo w pokoiku na poddaszu.

Zaczęli od poddasza.

Lonzo oderwał deskę progową. Pete głośno krzyknął.

W świetle latarki zobaczyli pliki zielonych banknotów, ułożone równiutko jeden obok drugiego!

- Pod rogiem - powtarzał Pete, mrużąc oczy. - Pod rogiem. Co za pomysłowość! Przecież wiedział, że wielu ludzi rzuci się na ten list jak sępy, próbując w nim coś znaleźć. Jupe, jesteś wielki!

- Powiniennem zwrócić na to uwagę już wcześniej - stwierdził Jupiter. - Pomijając wadę wymowy Spike'a, ten ucięty róg powinien być dać mi do myślenia. A biorąc pod uwagę fakt, iż naklejanie tapety na banknoty mogło je uszkodzić...

- To już nieważne, chłopcze! - przerwała mu Zelda. - Spisałeś się na medal. Guliwer nigdy by na to nie wpadł. Pieniądze zostały odnalezione, przestępcy złapani. Żaba skoczyła wysoko i uratowała się przed głodnymi rybami w stawie - zachichotała cicho Zelda.

Jupiter zrobił taką minę, jakby dawno przewidział rozwiązanie tej tajemniczej historii.

- To pani przesłała nam ostrzeżenie, prawda?

Stara Cyganka skinęła głową.

- Rzeczywiście, chłopcze, to ja. Moi Cyganie strzegli cię, ale ja chciałam zmobilizować cię do największego wysiłku i odnalezienia pieniędzy. I to mi się udało. A teraz musimy już jechać. Zawiadomimy policję i sprawa zakończona. Poczekajcie tu na ich przyjazd. Zajmą się pieniędzmi i tymi opryszkami na dole. Pewnie będą chcieli przesłuchać i nas, ale to nie będzie możliwe, przynajmniej na razie.

- Poczekaj, Zeldo! - krzyknął Jupiter, gdy Cyganka i Lonzo odwrócili się do wyjścia. - Zanim odjedziesz, chciałbym cię prosić o wyjaśnienie czegoś. Chodzi o kufer... W jaki sposób do nas wrócił? No i ta gadająca czaszka - Sokrates... czy ona naprawdę mówiła, czy ...

- Później, później - odparła Cyganka. - Za dwa tygodnie odwiedzisz mnie pod. starym adresem. Do tej pory już tam wrócimy. Wtedy otrzymasz odpowiedź na swoje pytanie.

- Ale, proszę, opowiedz nam chociaż o Guliwerze - upierał się Jupiter. - Co się z nim stało?

- Myślałem, że nie żyje - wtrącił Pete.

- Ja tego nie powiedziałam - odrzekła Zelda. - Powiedziałam, że zniknął ze świata ludzi. Teraz być może powróci ze świata, w którym przebywał. Do zobaczenia - za dwa tygodnie!

Zelda i Lonzo zbiegli po schodach. Trzej Detektywi usłyszeli, jak samochody Cyganów odjeżdżają w noc z rykiem silników. Popatrzyli po sobie, a Bob odetchnął z ulgą.

- O, rany! - powiedział. - Udało się, Jupe! Odnaleźliśmy pieniądze!

- Z pomocą Zeldy - dodał Jupiter. - Nie mogę się już doczekać spotkania z nią. Mam przeczucie, że dowiem się od niej wielu interesujących rzeczy!

Rozdział 18

Alfred Hitchcock zadaje pytania

Alfred Hitchcock, reżyser filmów sensacyjnych, który stał się przyjacielem i mentorem Trzech Detektywów, siedział w swym saloniku, przeglądając grube notatki dotyczące tajemnicy gadającej czaszki. Przygotował je Bob Andrews. W końcu reżyser podniósł głowę nad papierów i spojrział na chłopców siedzących po drugiej stronie stołu i czekających na jego opinię.

- Robota pierwsza klasa! - powiedział. - Jupiterze, przyjmij słowa uznania za odnalezienie pieniędzy, których policja szukała bezskutecznie już od tak dawna.

Okrągła twarz Jupitera była jednak zasępiona.

- Nie - westchnął. - Powinienem był rozwikłać tę tajemnicę znacznie wcześniej. Najpierw myślałem, że naklejenie znaczka na znaczek oznaczało ukrycie pieniędzy pod tapetą. Powinienem być mądrzejszy i szukać innego wyjaśnienia. Gdyby nie szczęśliwy zbieg okoliczności...

- Szczęście sprzyja tym, którzy mają oczy szeroko otwarte - powiedział Alfred Hitchcock. - Mówiłem ci to już wcześniej. Nie każdą sprawę udaje się rozwiązać od razu. To się nie udało jeszcze żadnemu detektywowi. Myślę, że świetnie sobie poradziłeś.

- Dziękuję - Jupiter rozchmurzył się. - W każdym razie pieniądze zostały odnalezione.

- I to w samą porę - zauważył reżyser. - Jeszcze dwa dni i z domu nic by nie zostało. Z pieniędzy też. A tak przy okazji, czy odebraliście nagrodę?

Jupiter westchnął. Pete westchnął. Bob westchnął.

- Nie, nie odebraliśmy - odezwał się Bob. - Nie było żadnej nagrody. To był tylko wymysł Smootha Simpsona, podobnie jak wszystko, co nam powiedział. Ale otrzymaliśmy bardzo miły list od dyrektora banku. A inspektor Reynolds powiedział, że żałuje, iż nie jesteśmy starsi i nie możemy pracować w jego zespole jako detektywi.

- A więc przynajmniej dostały wam się słowa uznania - rzekł pan Hitchcock. - Mam do was parę pytań, chłopcy. W waszych notatkach opisujecie, jak Spike Neely ukrył pieniądze, jak mu się udało przemycić ze szpitala ukrytą wiadomość do swego przyjaciela Guliwera. Wiadomość, którą dopiero wam udało się rozszyfrować. Ja chciałbym się jednak dowiedzieć, co się stało z Guliwerem?

Chłopcy uśmiechnęli się. Spodziewali się tego pytania i Jupiter miał już przygotowaną odpowiedź.

- Gdy nadszedł list od Spike'a Neely'ego, Guliwer od razu domyślił się, że zawiera jakąś ukrytą wiadomość. Kiedy bowiem wychodził na wolność, Spike obiecał, że przekaze mu swą tajemnicę, jeśli spotka go coś złego. Guliwer nie potrafił jednak rozszyfrować tej zagadki. Schował więc list w kufrze.

Pewnego dnia, kiedy wrócił do hotelu, recepcjonista powiedział, że pytali o niego jacyś ludzie. Rozpoznał z opisu Mungera Trzy Palce i wpadł w popłoch. Wiedział, że Munger nie cofnie się przed porwaniem i torturami, aby wydobyć z niego tajemnicę ukrytych pieniędzy, której Guliwer, oczywiście, nie znał. W przeciwnym razie już by zawiadomił o niej policję, choć wcale nie był przekonany, że uwierzyliby w tę historię.

Guliwer nie wszedł już nawet do swojego pokoju. Zostawił w nim cały dobytek i wszelki ślad po nim zaginął. Jego kufer wstawiono do hotelowej przechowalni, a później został kupiony na aukcji. Przeze mnie.

- A więc Guliwer nie umarł? - zapytał pan Hitchcock. - Przecież Cyganka Zelda powiedziała, że zniknął ze świata ludzi.

- No, właśnie - uśmiechnął się Jupiter. - Musiał się zabezpieczyć, by Munger i jego ludzie go nie znaleźli. Kupił perukę i przebrał się za kobietę. Tak więc Guliwer Wielki zniknął ze świata ludzi, a jego miejsce zajęła kobieta.

- Ależ naturalnie! - wykrzyknął pan Hitchcock. - Jak mogłem wcześniej na to nie wpaść! Czyżby Cyganka Zelda była naszym Guliwerem Wielkim?

Pete i Bob zachichotali. Jupiter skinął głową.

- Wydedukował pan prawidłowo - pochwalił pana Hitchcocka. - Cyganie byli starymi przyjaciółmi Guliwera. Zresztą, jego matka była Cyganką. Zgodzili się, by u nich zamieszkał, i nikomu nie pisnęli o tym ani słowa.

Teraz pan Hitchcock też się uśmiechnął.

- No cóż, i mamy rozwiązanie całej zagadki - stwierdził. - Guliwer zrzucił nadmiar kilogramów. Wiedział, że nikt nie skojarzy chudej Cyganki z zaginionym grubym magikiem. Ciekawe, jakie ma teraz plany?

- Kiedy tylko Munger Trzy Palce i jego banda trafią za kratki, przestanie być Zeldą. Do magii nie zamierza jednak wracać. Cyganie powierzyli mu prowadzenie swoich interesów i chce się dalej tym zajmować.

- Jeszcze tylko jedna sprawa - wtrącił pan Hitchcock, spoglądając w notatki Boba. - Kiedy kupiłeś kufer, Jupiterze, pojawiła się jakaś staruszka i bardzo zdenerwowana też chciała go kupić, ale było za późno. Czy nie był to przypadkiem...

- Tak, to był Guliwer, w innej peruce, przebrany za staruszkę. Chodził na większość

podobnych aukcji. Dowiedział się, że kufer będzie wystawiony tego dnia, ale niestety pomylił godziny i przyjechał za późno. Pewnie nie zrezygnowałby tak łatwo z odkupienia ode mnie kufra, ale pojawił się ten reporter z aparatem i Guliwer nie chciał zwracać na siebie uwagi. Z artykułu dowiedział się, kim jesteśmy i gdzie nas szukać.

- Podobnie, jak Munger Trzy Palce - dodał Pete ponuro.

- Owszem - zgodził się Jupiter. - To Trzy Palce i jego ludzie próbowali ukraść kufer ze składu. Powiodło im się dopiero, gdy pojechali za Maksymilianem Mistycznym i zepchnęli go do rowu. Długo nie cieszyli się kufrem. Widzi pan, Cyganie - jak nam powiedziała Zelda - mieli nas na oku. Kiedy ona, to znaczy, kiedy Guliwer dowiedział się, że udało nam się rozwiązać już kilka trudnych zagadek, pomyślał, że może odnajdziemy też ukryte pieniądze, zawiadomimy o nich policję, a wtedy on będzie mógł się ujawnić. Dlatego spotkał się ze mną jako Zelda i starał się przedstawić całą sprawę w jak najbardziej tajemniczym świetle, aby pobudzić moją ciekawość. Później Cyganie zauważyli, że jesteśmy śledzeni przez Mungera i jego ludzi. Po wypadku Maksymiliana pojechali za napastnikami aż do ich kryjówki i zanim tamci zdążyli się zorientować, zabrali kufer i odjechali.

Zelda, to znaczy Guliwer odesłał mi kufer w nadziei, że odnajdę pieniądze. Właściwie wiedział, że będę do tego zmuszony, aby pozbyć się Mungera i jego bandy. Nakazał Cyganom nie spuszczać nas z oczu i w razie potrzeby przyjść nam z pomocą.

W tamten sobotni wieczór, kiedy oszukani przez Smootha Simpsona pomagaliśmy mu odnaleźć stary dom pani Miller, Cyganie obserwowali Mungera Trzy Palce. O istnieniu Smootha w ogóle nie wiedzieli. Pojechali za Mungerem i kiedy zobaczyli, co się stało w domku, wezwali posiłki. Zdążyli w samą porę, by nas uratować i pojmać Mungera i jego bandę. A potem... zresztą, zna już pan dalszą historię.

Pan Hitchcock przytaknął. Podrapał się w głowę, spojrzął w okno i powiedział:

- Jeszcze tylko jedna rzecz mnie intryguje. Czy Sokrates - gadająca czaszka - rzeczywiście do was przemówił? A jeśli tak, to w jaki sposób? Na czym polegał ten sekret? Czyżby siły nadprzyrodzone?

- Nie - odparł Jupiter. - Nie było w tym żadnych sił nadprzyrodzonych. Praca magika polega w gruncie rzeczy na sztuczkach. Sokrates jest jedną z takich sztuczek. Guliwer był dobrym brzuchomówcą. Początkowo właśnie w ten sposób używał głosu Sokratesowi. Później ludzie zaczęli coś podejrzewać, więc znalazł sposób, by kierować Sokratesem na odległość. Kupił małe urządzenie nadawczo-odbiorcze. Wie pan, jak małe potrafią teraz być te cacka...

- I wmontował je w czaszkę? - zapytał pan Hitchcock. - Ależ, Jupiterze, jakoś trudno

mi uwierzyć, abyś nic nie zauważył. Przecież oglądałeś czaszkę kilkakrotnie.

- No, właśnie. Obejrzałem Sokratesa bardzo dokładnie. I tutaj Guliwer wykazał wielką pomysłowość. Wmontował bowiem urządzenie w podstawkę z kości słoniowej tak, by było niewidoczne.

- Coś podobnego! Bystry gość z tego Guliwera! Ale mów dalej - poprosił pan Hitchcock.

- Nadajnik działał jak mikrofon. To znaczy, kiedy stawialiśmy Sokratesa na podstawce, Guliwer słyszał wszystkie odgłosy w zasięgu pięciuset stóp. Przebrany za kobietę - ale nie za Cygankę - często kręcił się po składzie, odkąd ustalił, że znajduje się tam kufer. W uchu miał mały odbiornik ukryty pod peruką, a w ozdobnej broszy przypiętej do sukienki - mikrofon... Słyszał większość naszych rozmów. Początkowo nie zamierzał do nas mówić, ale raz zdarzyło mu się niespodziewanie kichnąć. Wtedy wzięliśmy to za kichnięcie Sokratesa.

Owej nocy, kiedy zabrałem Sokratesa do mojego pokoju, Guliwer schował się w pobliżu domu. Odczekał, aż zgaszę światło, i przemówił przez Sokratesa. Wtedy to przekazał mi tajemniczą wiadomość, abym poszedł pod wskazany adres, gdzie spotkałem Zeldę.

Następnego dnia, kiedy ciotka Matylda sprzątała mój pokój i wygarnęła Sokratesowi, co o nim myśli, Guliwer, który wszystko słyszał, nie mógł się powstrzymać, by nie powiedzieć "buuu!".

- A więc to cała tajemnica - powiedział pan Hitchcock. - Za wszystkim stał Guliwer i mechaniczne urządzenie, a nie czarna magia.

- Zgadza się - potwierdził Jupiter. - Ponieważ podczas naszych rozmów przeważnie mieliśmy Sokratesa przy sobie, Guliwer znał nasze dokonania i plany. Znał niemal każdy nasz krok. Dzięki temu mógł przyjść nam z pomocą, kiedy jej potrzebowaliśmy.

- No, cóż. To była trudna sprawa. Z przyjemnością napiszę do niej wstęp - powiedział reżyser. - A może macie już coś nowego na oku?

- Jeszcze nie - odparł Jupiter, wstając. - Ale oczy mamy szeroko otwarte. Będziemy z panem w kontakcie.

Kiedy chłopcy wyszli, pan Hitchcock uśmiechnął się do siebie. Gadająca czaszka! Ciekawe, z czym przyjdą następnym razem!